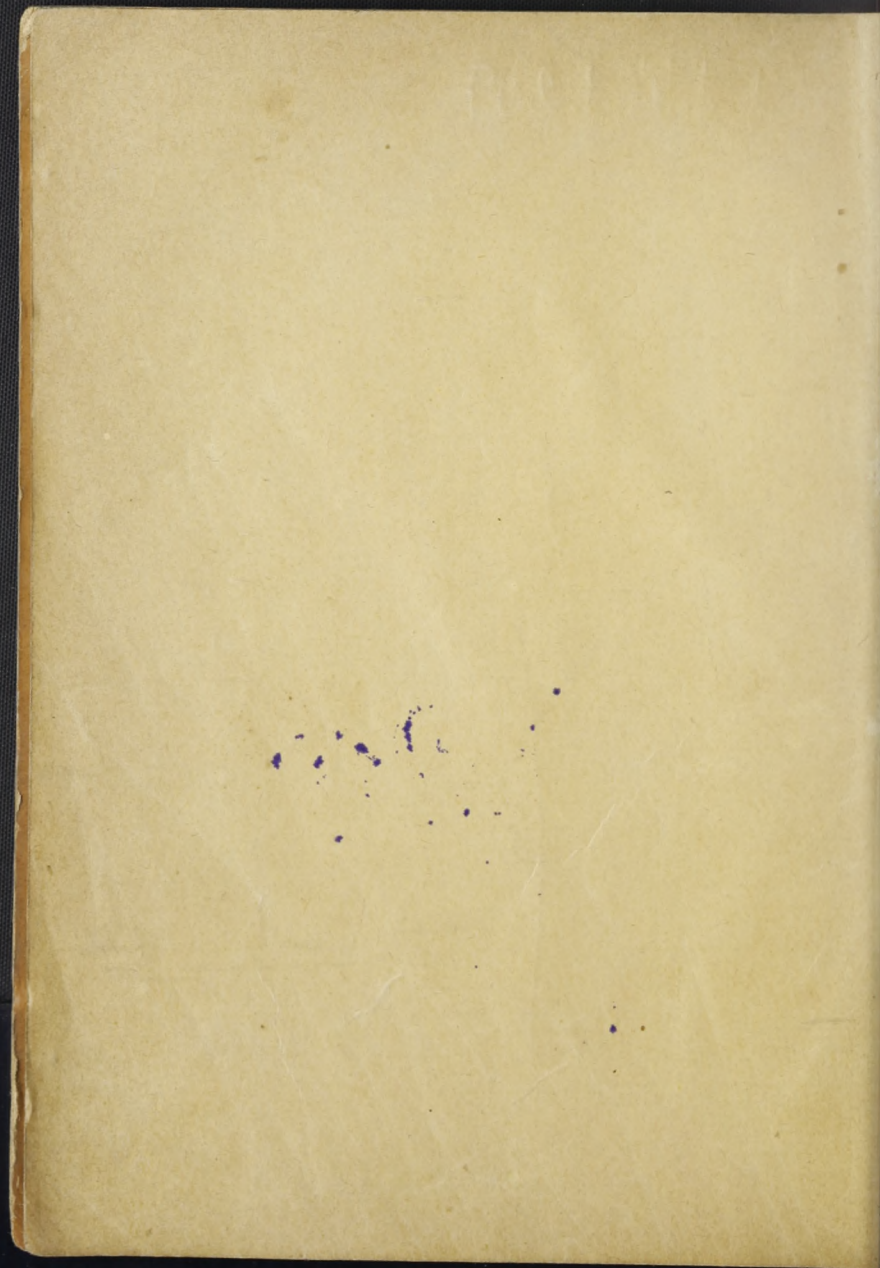


I 1.461.297

[Handwritten scribble]

[Vertical handwritten line]



57242
Villers de L'Isle Adam

Tajemnice szafotu

POWIEŚĆ

CZYTELNIA ZJEDNOCZONA
SPÓŁKA Z OGR. ODP.
Warszawa, Marszałkowska 95
TELEFÓN 263-80.

WARSZAWA
BIBLIOTEKA ROMANSÓW I POWIEŚCI
1 9 2 7.



I 1.461.297



Odbito w druk. GRAFIA. Warszawa.

• St. z.

Tajemnica szafotu.

Ostatnie egzekucje wskrzeszają w pamięci mej następującą historję.

Tego wieczoru, 5 czerwca 1864 r. około godziny siódmej, doktor Edmund Dezydery Gout-de-la-Pommerie nienadługo przedtem przeprowadzony z Conciergerie do La-Roquette, siedział w kurtce katorżnika w celi skazanych na śmierć.

Siedział milczący, z nieruchomym wzrokiem, oparty o tył krzesła. Świeca na stole rzucała światło na bladą, zimną twarz jego. O dwa kroki od niego, oparty o ścianę, stał dozorca ze skrzyżowanemi na piersi rękoma i patrzył na niego.

Zwykle uwięzieni obowiązani są wykonywać codziennie pewne roboty; z zarobku ich administracja przedewszystkiem wytrąca, na wypadek śmierci, wartość całunu. Tylko skazani na śmierć wolni są od wszystkich robót.

Więzień należał do kategorii tych, którzy nie rozrywają się w więzieniu kartami, we wzroku jego nie było widać ani bojaźni, ani nadziei.

Trzydzieści cztery lata; śniady, średniego wzrostu, bardzo dobrze zbudowany; oczy nerwowe, przymknięte; czoło człowieka myślicy; głos monotony, urywany; ręce złowieszcze; ponura twarz człowieka zamkniętego w sobie; maniery wyuczenie wyszukane.

(Wszyscy pamiętają—jak sąd przysięgłych departamentu Sekwany skazał de la Pommerie na karę śmierci na podstawie art. 301 i 302 paragrafu kod. karnego, za to, że z premedytacją i w celach zysku zabił jedną ze znajomych swoich, panią de Pont, zadawszy jej śmiertelną dozę digitalis. Mowa obrończa Lacheaux, bardzo krótka, była bezsilną, ażeby zachwiać w duszy przysięgłych to wrażenie, jakie wywarło śledztwo, zeznanie doktora Tardier, mowa oskarżająca Oskara de Vallais).

Tegoż wieczoru 5 czerwca, de la Pommerie nie wiedział jeszcze, że skarga kasacyjna pozostawiona została bez skutku i prośba o łaskę, podana przez rodzinę, odrzucona. Obrońcę jego cesarz wysłuchał z roztrągnięciem. Przez wszystkich szanowany abbé Clos, który przed każdą egzekucją tak zabiegał i błagał w Tuilleries, powrócił bez odpowiedzi.

Zastąpić w takim procesie karę śmierci inną karą — czyż nie znaczyło by to znieść zupełnie karę śmierci? Proces był wyjątkowy. Zdaniem Rady Prokuratorzkiej zatwierdzenie wyroku nie ulegało wątpliwości i, zanim przeszedł on przez wszystkie instancje,

kat Endreis dopiero co otrzymał zawiadomienie, żeby dnia 9, o godz. 5 rano, zabrał oskarżonego do swojej dyspozycji.

Naraz, w korytarzu, dał się słyszeć stuk kolb karabinowych. Głucho zagrział zamek; drzwi otworzyły się; w ciemności błysnęły bagnety; na progu celi ukazał się dyrektor La-Roquette, Boquen i jakiś gość.

De la Pommerie podniósł głowę i odrazu poznał w tym gościu znakomitego chirurga, Armanda Velpo.

Na znak dyrektora dozorca wyszedł; potem, milcząc przedstawiwszy przybyłego wyszedł i Boquen. Koledzy pozostali sami, patrząc jeden drugiemu prosto w oczy.

La Pommerie bez słów wskazał doktorowi krzesło swoje, potem poszedł i usiadł na łóżku. Było ciemno i znakomity klinicysta podszedł do... pacjenta, ażeby widzieć go epiej; mówić z nim szeptem.

*

*

*

Velpo w tym roku ukończył sześćdziesiąt lat. Był u szczytu sławy, otrzymał w Instytucie katedrę Larrey'a, był pierwszym profesorem chirurgji klinicznej w Paryżu i prace naukowe jego, odznaczające się zawsze taką jaskrawą i jasną siłą myśli, czyniły go jednym ze świeczników współczesnej patologi; zasłużony lekarz stawał się sławą swego wieku.

Po minucie przykrego milczenia rzekł:

— Panie, my — lekarze, nie potrzebne nam są słowa bezużytecznego współczucia

Do tego, zapalenie błony sercowej (powiniennem umrzeć za dwa, no — dwa i pół roku), wkrótce, bo za kilka miesięcy, postawi mnie w szeregach skazanych na śmierć. Przejdźmy jednak, bez wstępów, do samej sprawy...

— Znaczy się, doktorze, sądząc ze słów pańskich, mój stan prawny... jest beznadziejny?... przerwał mu La Pommerie.

— Niestety, zdaje się, że tak, — odrzekł po prostu Velpo.

— Godzina egzekucji mojej naznaczona?...

— Nie wiem; że zaś jeszcze nic stanowczego nie określono, pan, bezwątpienia, liczyć może na kilka dni.

La - Pommerie przeciągnął rękawem koszuli po bladym czole.

— Dobrze. Dziękuję. Będę gotów; byłem już do tego przygotowany... Zresztą czem prędzej tem lepiej.

— Pańska skarga kasacyjna nie została jeszcze odrzuconą i dla tego — przemówił znów Velpo, — propozycja, którą chcę panu zrobić, przynajmniej teraz — jest tylko warunkową. Jeżeli będzie pan ulaskawiony, tem lepiej... Jeżeli zaś nie...

— Jeżeli zaś nie?... powtórzył La Pommerie.

Wielki chirurg zamilkł.

Velpo, nie odpowiadając, wyjął z kieszeni futerał, otworzył go, wydobyl lancet i zwinawszy skazańcowi rękaw koszuli na lewej ręce, nacisnął mu średnim palcem puls.

— Panie de-la-Pommerie, pański puls mówi o rzadkim spokoju, wytrwałości. Zwracam się do pana (to powinno pozostać taje-

mnicą) z pewną propozycją, któraby aż do zbrodni, mogła się wydać niezwykłemi drwinami—nawet zwrócona do lekarza z taką energją, do człowieka, zahartowanego w pozytywnych pewnikach naszej nauki i wolnego od wszelkich fantastycznych obaw przed śmiercią. Lecz, myślę, że my obadwaj wiemy, kim jesteśmy; i pan propozycję mą przyjmie z namysłem, żeby nawet nie wiem jak wzburzyła ona pana z początku.

— Słucham pana z największą uwagą— odrzekł La Pommerie.

— Pan nie może, ma się rozumieć, nie wiedzieć, że jednym z najbardziej interesujących zagadnień współczesnej fizjologii, jest zbadanie kwestji, czy pozostaje jakikolwiek przeblysłk pamięci, myśli, rzeczywistego czucia w mózgu człowieka, potem, gdy głowę odziedzi od ciała.

Przy tych niespodziewanych słowach, skazany drgnął, lecz zaraz zapanował nad sobą.

— Kiedy pan tu wszedł, doktorze, — odrzekł: myśl moja zajęta była akurat tem zagadnieniem, które właśnie ma dla mnie podwójny interes.

— Pan bada tą dziedzinę, zaczynając od prac Semmerlinga, Sue, Sediyo i Bichea, aż do wyników ostatnich czasów? spytał Velpo.

— Tak, i nawet byłem obecny na jednym z wykładów pana przy sekcji trupa skazańca.

— A! W takim razie chodźmy dalej...

Czy pan ma ściśle dane z punktu widzenia nauki chirurgji o gilotynie?

La Pommerie wyraźnie patrzył na Velpa i zimno odrzekł:

— Nie, panie.

— Dziś jeszcze bardziej szczegółowo zbadałem tą maszynę — spokojnie ciągnął dalej doktor Velpo: mogę zaświadczyć, że maszyna wzorowa. Nóż — miecz, działający jednocześnie jak klin, jak sierp i jak młot, przecina szyję pacjenta w jedną trzecią sekundy. W ten sposób obezgłówniany pod tem błyskawicznym uderzeniem nie może uczuć bólu, jak nie uczuwa go żołnierz, kiedy w czasie bitwy kula odrywa mu rękę. Wobec błyskawiczności, uczucie, równające się zeru, — nie daje się uświadomić...

— Lecz, być może, ból czuje się potem? Wszak Juljusz Fontenelle, wyłożywszy swoje pojęcia, stawiał pytanie, czy nie wywołuje ta sama szybkość następstw więcej męczących, niż egzekucja szablą lub toporem.

— Bérard w zupełności obalił ten wymysł — odrzekł Velpo: osobiście przekonany jestem, i to przekonanie moje oparte jest na setce doświadczeń i moich osobistych obserwacji — że momentalne oddzielenie głowy w tejże samej chwili wywołuje u obezgłównionego osobnika najabsolutniejszą anestezję. Jedno momentalne zemdlenie, wywołane utratą czterech lub pięciu litrów krwi (tryska ona z naczyń często z taką siłą, że rozpryskuje się w koło średnicy około metra), już mogłoby uspokoić co do tego najbardziej tchórzliwych.

Co zaś dotyczy nieświadomych konwulsji aparatu cielesnego, zbyt raptownie zatrzymanego w swych procesach — to one tak mało świadczą o cierpieniu, jak... drgawki, naprzykład, obciętej nogi, w której skracają się mięśnie i nerwy, lecz która nie może sprawić bólu. Febra nerwowa nieświadomości, mówię, uroczystość fatalnych przygotowań, przebudzenie wczesnym rankiem, tylko one dają tu cierpienie. Że zaś amputacja dokonywana się momentalnie, to rzeczywisty ból — jest tylko urojonym. Ma się rozumieć, tak nadzwyczaj silnego uderzenia w głowę nie tylko nie można poczuć, lecz nawet i uświadomić; wszak jedno tylko proste uszkodzenie kręgow pociąga za sobą zupełną utratę wrażliwości, więc jakże oddzielenie głowy, rozcięcie kręgow grzbietowych, przerwanie organicznych połączeń między sercem i mózgiem, mogło by nie sparaliżować każdego, najbardziej nieznacznego uczucia bólu, nawet w najgłębszych tajnikach istoty ludzkiej?... Tego nie może być. Tego nawet przypuścić nie można. Pan wie o tem nie gorzej odemnie.

— Przynajmniej, liczę na to więcej niż pan, odrzekł La Pommerie: i dlatego przeraża mnie zupełnie nie to, nie jakiegobądź silne i niespodziewane cierpienie fizyczne, które ledwie, że można odczuć w chaosie wszelkich uczuć, które szybko gasną w śmierci. Nie to, mówię, lecz co innego...

— Być może, spróbuje pan to sformułować?... rzekł Velpo.

— Niech pan słucha — szepnął La-Pom-

merie, po chwilowem milczeniu: w ostateczności organy pamięci i woli, jeżeli zamknięte są u człowieka w tych częściach mózgu, gdzie my konstatujemy ich obecność... na przykład, u psa, tych organów nie dotyka opadający nóż. Wynaleźliśmy tyle niejasności, również niepokojących nas, jak i niezrozumiałych, i nie mogę łatwo przekonać się o tem, że pozbawiony głowy traci natychmiast wszelką świadomość! Podania mówią nam, jak głowa na wezwanie otwiera oczy do mówiącego. Czy to pamięć nerwów?... Ruch refleksyjny? Niech pan przypomni sobie głowę marynarza, która w klinice w Rouen, w godzinę po oddzieleniu jej od korpusu, złamała ruchem szczęk, być może — świadomym, włożony między nie ołówek... Weźmy choć ten przykład z tysiąca innych. W danym wypadku istotne pytanie polega na tem czy „ja“, tego człowieka, nie wprowadziło w ruch, po przerwaniu obiegu krwi, muskuły jego pozbawionej krwi głowy.

— „Ja“ — tylko w połączeniu wszystkich części w jedną całość, rzekł Velpo.

— Mlecz pacierzowy jest przedłużeniem mózdzku, odrzekł La Pommerie: w ten sposób, gdzież jest czująca całość?... Kto może odpowiedzieć na to?... Nie upłynie tydzień i ja napewno dowiem się o tem... i zapomnę.

— Być może, od pana zależy, ażeby ludzkość raz na zawsze, stanowczo dowiedziała się o tem, powoli odrzekł Velpo, i o czy jego wpłynęło się w oczy interlokutora: i, mówiąc szczerze, dlatego właśnie jestem tu...

Wysłała mnie do pana komisja naszych najwybitniejszych kolegów — fakultetu paryskiego, i oto przepustka, wydana mi przez cesarza. Mieszczą się w niej dość obszerne pełnomocnictwa, ażeby w razie potrzeby nawet odroczyć pańską egzekucję...

— Niech pan to wytłumaczy... Przestaję rozumieć pana, odrzekł zdumiony La - Pommerie.

— Panie de-la-Pommerie, w imieniu nauki, która nam zawsze jest drogą, przychodzę — w przypuszczeniu dla mnie więcej niż wątpliwem, że okaże się możebnem doświadczenie, jakie chcemy dokonać, przychodzę żądać od pana wielkiej energii i wielkiej odwagi, na jakie tylko zdobyć się może człowiek. Jeżeli prośba pańska o ułaskawienie odrzuconą zostanie, pan, będąc lekarzem, nie odrzuconą zostanie, pan, będąc lekarzem, okaże się kompetentnym uczestnikiem tej wielkiej operacji, jakiej pan musi się poddać. I współdziałanie pana byłoby nieocenionem przy próbie... dać znak... Ma się rozumieć, żeby nie wiem jak wielką była gotowość pana, wszystko, jawnie, naprzód już mówi, że wynik będzie bardzo ujemny; lecz w końcu, z panem ta prośba (znów powtarzam w przypuszczeniu, że prośba ta od początku nie okaże się bezsensowną)... ma jedną na dzieśnię tysięcy szansę, w cudowny sposób, jeżeli można się tak wyrazić, oświetlenia współczesnej fizjologii. I dlatego też koniecznem jest wykorzystanie tego wypadku. I jeżeli po egzekucji pan zwycięsko da mi znak, że świadomość nie ugasa zupełnie, pozostawi

pan głośne imię, a sława naukowa pańska zawsze zaćmi wszelkie wspomnienie o pańskim upadku socjalnym.

— A... A... Zaczynam rozumieć, szepnął La-Pommerie, cały poblady, lecz ze stanowczym uśmiechem na ustach: W samej rzeczy, egzekucje zaświadczyły już, jak mówi Michélet, objawy trawienia. I... w jakim rodzaju będą doświadczenia pana? Tok galwaniczny?... Podrażnienia mięśni?... Wstrzykiwanie krwi z wen?... Lecz to wszystko nieda wyników...

— Nie trzeba dodawać, że zaraz po smutnej ceremonii szczątki pana będą w spokoju pogrzebane w ziemi, i do pana niedotknie się ani jeden nasz skalpel, odrzekł Vel-po. Nie... Lecz w tej chwili, kiedy spadać będzie nóż, ja stać będę naprzeciwko pana, obok maszyny. Tak szybko, jak tylko to jest możebne, głowa pańska z rąk kata przejdzie do moich. I wtedy... doświadczenie może być poważne i dać wynik dzięki swej zupełnej prostocie, ja bardzo wyraźnie krzyknę panu nad uchem „panie Gout-de-la-Pommerie, czy może pan, w imię naszych stosunków za życia, w tej chwili trzykrotnie opuścić powiekę prawego swego oka, a lewe oko trzymać szeroko otwarte?...“ Jeżeli, w tej chwili, jakieby nie były inne skróty mięśni twarzy, pan będzie w stanie takim potrójnym ruchem powieki dać mi znać, że słyszałeś i rozumiałeś mnie, i dowieść to, przyprowadzając przy pomocy zachowanych pamięci i woli w ruch mięsień powieki, nerw mięśniowy i powiekę łączącą oko, przytłumiając.

w sobie całe przerażenie, cały chaos innych wrażeń pańskiej istoty, to wystarczy, ażeby jasne światło rzucić na naukę, dokonać przewrotu we wszystkich naszych przekonaniach. I ja potrafię, wierzaj mi pan, zrobić tak, że przyszłe czasy zachowają pamięć o panu nie jako o przestępcy, ale jako o bohaterze...

Te niezwykle słowa tak głęboko zdumiały de-la-Pommerie, że źrenice jego rozszerzyły się, zatrzymały się na chwilę na chirurgu, i przez minutę milczał, jak skamieniały. Potem, również milcząc, wstał, uczynił głęboko zamyślony kilka kroków, potem smutnie pokiwał głową i rzekł.

— Straszna siła ciosu ogłuszy mnie. Spełnienie tego, co pan mówi, zdaje mi się przewyższa wszelką wolę, wszelką możność ludzką. Potem, mówią, że jakoby szanse żywotności nie zawsze są jednakowe u wszystkich zgilotynowanych. Zresztą.. przyjdź pan do mnie rano przed egzekucją. I wtedy odpowiem panu, czy zgadzam się, czy nie, na to doświadczenie, tak straszne, fantastyczne. Jeżeli odpowiem odmownie, mogę, ma się rozumieć, liczyć na pańską dyskrecję? Pan pozostawi w spokoju głowę moją, ażeby spłynęły z niej ostatnie krople krwi i życia w ołowianej skrzynce, dokąd zostanie rzucona.

— Znaczy się, do prędkiego zobaczenia się, panie de-la-Pommerie, rzekł Velpo i również wstał: namyśl się pan.

Pożegnali się.

Doktór Velpo wyszedł z celi; wszedł do-

zorca. Skazany rzucił się na łóżko i zaczął drzemać, czy też myśleć.

* * *

W cztery dni potem, około wpół do szóstej rano, do celi weszli: Boquen, ks. Croset i sekretarz sądu cesarskiego, Totier.

De-la-Pommerie, rozbudzony przez nich, przy oznajmieniu mu fatalnej godziny, wstał bardzo blady. Ubrał się szybko. Potem przez dziesięć minut konferował z ks. Croset, który już przedtem nie raz przychodził do niego. Jak wiadomo, ten świętobliwy mąż posiadał dar wnoszenia spokoju w ostatniej chwili. Wszedł doktor Velpo.

— Ćwiczyłem si, widzi pan, — rzekł do niego La Pommerie.

I podczas czytania wyroku, trzymał prawą powiekę spuszczoną, a szeroko roztwartem lewem okiem patrzył na chirurga.

Velpo ukłonił się nisko, potem zwróciłszy się do Endreicha, który wszedł wraz ze swymi pomocnikami, zamienił z nim szybko porozumiewawcze spojrzenie.

Przy skazańcu wykonano wszystko, co potrzeba. Zwróćmy uwagę, że włosy jego przy dotknięciu nożyc nie zostały siwemi. Kiedy ksiądz cichym głosem przeczytał pożegnany list żony, w oczach jego zakreśliły się łzy, i ksiądz nabożnie obtarł je mu, podniósłszy strzępek, wycięty z kołnierza koszuli. Kiedy wstał i zarzucono mu na ramiona palto, trzeba było obluźnić sznurek na rękach. Szklanki z wódką odmówił. Wszyscy poszli

korytarzem. Przy podjeździe, na progu, spotkał swego kolegę.

— Do przedkiego zobaczenia, szepnął mu bardzo cicho. I żegnam...

Naraz żelazne drzwi rozwarły się i rozsunięły się przed nim.

Wicher poranny wtargnął do więzienia; świeciło. W oddali rozścielał się wielki plac, otoczony podwójnym szeregiem konnicy. Wprost naprzeciwko niego, o dziesięć kroków, w półkolu konnych żandarmów, którzy z hałasem obnażyli szable przy jego ukazaniu się, wznosił się szafot. Nieopodal, w grupie przedstawicieli prasy, obnażyli głowy.

Tam za drzewami rozlegał się gwar tłumu, znużonego nocą bezsennością. Z dachów szynczków, z okien, wysuwały się zniszczone blade kobiety, w jaskrawych sukniach jedwabnych, niektóre — jeszcze z szampanem w rękę, obok zblazowanych czarnych fraków. W porannem powietrzu unosiły się nad placem tam i z powrotem jaskółki.

Zdawało się, że gilotyna zapełniała sobą całą przestrzeń, dochodziła do nieba i wyciągała na horyzoncie cienie swoich dwóch, wyciągniętych rąk, a w przestrzeni między nimi, widać było, jak w oddali, wysoko, wśród błękitów w zorzy widniała gwiazda poranna.

Skazany drgnął, ujrawszy ten złowieszczy widok potem stanowczo iść zaczął w stronę pomostu... wszedł po stopniach. Teraz w czarnej ramie błyszczał trójkątny nóż i za-

CZYTELNIA ZJEDNOCZONA

SPÓŁKA Z OGR. ODP.

Warszawa, Marszałkowska 95

TELEFON 322 22

krywał gwiazdę. Przed fatalną deską, po krucyfiksie, ucałował promień swych włosów, które podniósł w celi podczas strzyżenia jego ks. Croset, i teraz poniósł mu do ust.

— Dla niej... rzekł.

Na szafocie zarysowały się sylwetki pięciu osób. Cisza zapanowała w tej chwili tak głęboka, że słychać było, jak załamała się gałąź pod ciężarem jakiegoś ciekawego, i dźwięk ten dobiegł do tej pełnej tragizmu grupy, razem z czymś wykrzyknikiem i kilkoma zduszonymi, cynicznymi wybuchami śmiechu. Kiedy zaczął bić zegar ostatniego uderzenia, którego nie miał już słyszeć, zobaczył przed sobą, z drugiej strony maszyny, dziwnego eksperymentatora. Oparty ręką o platformę, Velpo patrzył na niego... Zapanował nad sobą i zamknął oczy.

Kołowrót naraz zaskrzypiał, łańcuch naprężył się, zasuwka otwarła się, błysnął nóż. Platforma zadrżała wskutek silnego pchnięcia. Konie stanęły dęba od zapachu krwi, i w powietrzu drżało echo świstu żelaza, a ciekająca krwią głowa ofiary była już w objętych rękach sługi sprawiedliwości, zbroczyła palce jego, mankiety i odzież.

Twarz głowy była przerażająco blada, z oczyma szeroko rozwartemi i wykrzywionemi ustami. Zęby ściśnięte; podbródek i dolna szczeka były obcięte.

Velpo pospiesznie nachylił się ku tej głowie i wyraźnie przemówił nad prawem jej uchem umówiony znak. Choć wielkiem było panowanie tego człowieka, to

co zaszło, zmusiło go do drgnięcia w strasz-
nym przerażeniu: *powieka prawego oka opuściła się, lewe oko, szeroko roztwarte, patrzyło na niego.*

— W Imię Boga, jeszcze dwa razy ten znak!... krzyknął głucho.

Żrenice rozwarły się, jakby od wewnętrznego wysiłku, lecz powieki już nie podniosły się. Twarz z każdą sekundą coraz bardziej stygła, stawała się nieruchomą...

Wszystko było skończone...

Doktor Velpo oddał głowę Endreichowi, i ten, otworzywszy kosz, postawił głowę, jak tego wymagał zwyczaj, między nogami już zastygłego tułowiu.

Wielki chirurg obmył ręce w jednym z wiader, w których stała woda do mycia maszyny. Wokoło niego poruszał się tłum, ponury, nie poznający go. Milcząc wytarł ręce.

Potem wolnymi krokami, z twarzą zadumaną i poważną, poszedł do karety swojej, oczekującej na rogu więzienia. Kiedy wszedł do karety, zobaczył furgon sądowy; konie klusem unosiły trup do Montparnasse.

CZYTELNIA ZJEDNOCZONA

SPÓŁKA Z OGR. ODP.

Warszawa, Marszałkowska 95

TELEFÓN 263-80.

Książę Portlandu.

— *z k. bieriszy*

Niezbyt dawno wszyscy w pamięci mają Ryszarda księcia Portlandu, znanego niegdyś w całej Anglii ze swych igrzysk nocnych, koni wyścigowych czystej krwi, znajomości boksowania się, polowań na lisy, zamków, bajecznych bogactw, pełnych odwagi podróży i przygód miłosnych, który niespodziewanie, zaraz po powrocie ze Wschodu, znikł.

Tylko razu pewnego, wieczorem, widziano, jak stoletnia, złocona karetka jego, z opuszczonymi firankami, przejechała galopem, otoczona przez jeźdźców z pochodniami, przez Hyde-Park.

Potem, zamknięcie się również niespodziewane, jak i dziwne, książę udał się do swego zamku rodzinnego; został samotnym mieszkańcem tego ciężkiego zamku, z zębataymi murami i basztami, zbudowanego w dawne lata, pośród ponurych ogrodów i leśnych polanek, na Portlandzkim wybrzeżu.

Tam, jedynem sąsiedztwem jego było czerwone światło, oblewające we wszystkie godziny, przez mgłę ciężkie parostatki, koły-

szące się na otwartem morzu i przecinające horyzont smugami dymu.

Coś w rodzaju dróżki, wiodącej do morza, kręta aleja, wryta między skałami i obsadzona z obydwóch stron dzikimi jodłami, otwiera w dole swe kraty złożone na piasek przybrzeżny, zalewany wodą w godzinach przyptywu.

Za panowania Henryka VI powstały legendy o tym zamku ufortyfikowanym, komnaty którego w świetle, przechodzącym przez szkła różnobarwne, błyszczą feudalnymi bogactwami.

Na płaskim dachu, łączącym jeszcze siedem baszt jego, stoją jakby na straży, między ambrazurami, tam grupa arkebuzierów, tam jaki bądź rycerz kamienny, wykuty w wojowniczej pozie za czasów wypraw krzyżowych.

W nocy, posągi te, twarze których starze były teraz przez straszne burze i śniegi wielu setek zim, nieraz zmieniały swój wyraz pod wpływem retuszu błyskawicy, mają bardzo nieokreślony wygląd, dający powód do przeróżnych przesądnych widziadeł. I kiedy fale, podniesione do góry w różnych fantastycznych kształtach, rzucają się podczas burzy w ciemności na wybrzeża portlandzkie, to zabłądzonemu podróżnemu, spiesznemu kroczącemu piaszczystem wybrzeżem, nie trudno, stojąc na wprost zamku, wyobrazić sobie, szczególnie przy pomocy światła księżyca, oblewającego te granitowe masy, pewien wieczny atak, wytrzymywany bohatersko

przez załogę rycerzy — widm, przeciwko legjonowi złych duchów.

Cóż oznaczało to osamotnienie lekkomyślnego arystokraty angielskiego? Czy miał on atak spleenu? On, z usposobieniem z natury tak wesołym? Niemożliwe! Jakiś może wpływ mistyczny, przywieziony z podróży po Wschodzie?... Być może.

Przy dworze niepokoił się z powodu tego zniknięcia. Z Westminsteru został posłany przez samą królową list do niewidzialnego lorda.

Oparta o kandelabr, królowa Wiktorja tego wieczoru opóźniła nadzwyczajną audjencję. Obok niej, na taborecie z kości słoniowej, siedziała młoda lektorka, miss Helena G. Odpowiedź, z czarną pieczęcią, przysłała od lorda Portlandu.

Dziewczę, otworzywszy list od lorda, przebiegła swemi błękitnymi oczyma, odbijającymi uśmiechy błękitu niebios, te kilka wierszy, które on zawierał. Naraz, nie mówiąc ani słowa, podała papier, opuściwszy powieki, jej królewskiej mości.

Królowa w milczeniu przeczytała go sama.

Przy pierwszych słowach, na obliczu jej, zwykle spokojnem, odbiło się jakby potężne, smutne zdumienie. Nawet nie drgnęła; poczem milcząc, przybliżyła papier do płonących świec. Rzucając potem na posadzkę list, który spłonął:

— Milordowie, rzekła do obecnych tam panów, stojących w odległości kilku kroków

od niej: nie zobaczycie już więcej naszego drogiego księcia Portlandu. Nie powinien już więcej zasiadać w Parlamencie. Uwalniamy go, dając mu ten przywilej na mocy konieczności. Niech tajemnica jego będzie zachowana. Nie niepokójkcie się więcej o niego, i niech nikt ze znajomych jego nie próbuje komunikować się z nim.

Potem, odsyłając gestem starego kurjera pałacowego:

— Proszę powtórzyć księciu Portlandu to, co dopiero widzieliście i słyszeliście, dodała, rzucając spojrzenie na czarny popiół listu.

Po tych tajemniczych słowach, jej królewska mość wstała, ażeby udać się do swoich apartamentów. Jednakże na widok swej lektorki, pozostałej w pozie nieruchomej i jakby śpiącej, z twarzą podpartą na białej, pięknej ręce, położonej na purpurowej skórze stołu, królowa, jeszcze raz zdumiona rzekła cicho:

— Pójdiesz za mną, Heleno?

Że zaś dziewczę zachowało tą samą pozę, wszyscy zakrzętnęli się koło niej.

Bez najmniejszej bladeści, która wydała by jej niepokój, jakżeż może zblednąć lilja?... straciła zmysły.

W rok po słowach, wyrzeczonych przez jej królewską mość, podczas burzliwej nocy jesiennej, okręty, przechodzące o kilka mil od Portlandu, widziały, że zamek był oświetlony.

O! To nie było pierwsze z nocnych igrzysk, dawanych co sezon przez nieobecnego lorda!

I o nich mówiono, gdyż ponury ich prze-pych dochodził do czegoś fantastycznego; sam książę nie bywał na nich obecnym.

Igrzyska te odbywały się nie w apartamentach. Tam nikt więcej nie wchodził; lord Ryszard, mieszkający samotnie w baszcie, zdawało się, zapomniał o nich.

Gdy tylko powrócił, rozkazał okryć zwierciadłami weneckimi ściany i sufity olbrzymich podziemi tego mieszkania. Podłoga zaśłana była teraz marmurem i jaskrawą mozaiką. Tylko wspaniałe tkane materje, podniesione na przepysznych sznurach, rozdzielały amfiladę precudnych sal, w których, przy świetle błyszczących złotem żyrandoli, widniało ich wschodnie umeblowanie, zahaftowane drogocennymi arabeskami, pośród tropikalnych roślin, wonnych fontan, z porfirowymi basenami, i precudnych posągów.

Tam, na przyjacielskie zaproszenie właściciela zamku portlandzkiego „żałującego tego, że wciąż jeszcze jest nieobecnym“, zbierał się błyszczący tłum, śmietanka towarzysstwa młodej arystokracji Anglii, najbardziej czarujące aktorki lub największe piękności z *gentry*.

Lorda Ryszarda zastępował jeden z jego dawnych przyjaciół. I wtedy zaczynała się książęco swawolna noc.

Tylko na miejscu honorowem uczyty, jeden fotel, fotel młodego lorda, pozostawał

niezajętym i herb książęcy, wznoszący się nad nim, obciągnięty był zawsze długą krepą żalobną.

Spojrzenia, prędko rozweselone upojeniem lub rozkoszą, chętnie odwracały się od niego do bardziej pięknych lic.

Tak, o północy, zamierały pod ziemią, w Portlandzie, w salach pełnych lubieżności, wśród upajających aromatów kwiatów egzotycznych, wybuchy śmiechu, pocałunków, dźwięk pucharów, pieśni bachicznych i muzyki.

Lecz jeżeliby kto z pośród zaproszonych. o tej porze, wstał od stołu, ażeby odetchnąć powietrzem morskiem, wyszedł na dwór w ciemność, na brzeg morza, zobaczyłby, być może, widok, zdolny zamącić przecudny nastrój duszy jego, przynajmniej na resztę nocy.

W rzeczywistości, nierzadko o tej samej godzinie, na skrócie alei, wiodącej do oceanu, skierowywał się na brzeg gentelman; otulony w płaszcz, z twarzą, okrytą maską z czarnej materji, do której przymocowany był okrągły kaptur, ze światłem cygara w ręku, okrytej długą rękawiczką. Jak w fantasmagorji starego stylu, przed nim szło dwóch siwo-włosych służących; dwóch innych podążało za nim, o kilka kroków, podnosząc do góry czerwone, dymiące pochodnie.

Przed nim kroczyło dziecko, również w żalobnej liberji, i paż ten co raz uderzał w mały dzwonek, uprzedzając zdaleka wszystkich, ażeby usuwali się przy przybliżaniu

człowieka zamaskowanego. I widok tej małej grupy pozostawiał wrażenie tak rażące, jak pochód skazanego na śmierć...

Przed tym człowiekiem roztwierała się kratka przy mieliźnie, świta pozostawiała go samego i on kierował się na brzeg morza. Tam, jakby gubiąc się w pełnej zadumy rozpaczy, upajającej smutkiem przestrzeni, pozostawał milczącym, podobnym do kamiennych widziadeł na dachu, pod wiatrem, deszczem i błyskawicami, przed wyciem oceanu. Spędziwszy tak w zadumie około godziny, ponury człowiek, wciąż w otoczeniu pochodni i poprzedzany pogrzebowym dźwiękiem dzwonu, skierował się znów do baszty tą samo ścieżką, którą zeszedł. I często chwiejąc się przez drogę, czepiał się twardych skał.

Rano, w przeddzień tego jesiennego igrzyska, młoda lektorka królowej, w grubej żalobie, której nie zdejmowała od chwili otrzymania ostatniego listu księcia, modliła się w kaplicy jej królewskiej mości; tam jej doręczono notatkę, napisaną przez jednego z sekretarzy księcia.

W notatce były tylko dwa słowa, które przeczytała ze drżeniem: „Dziś wieczorem“.

Oto dlaczego koło północy jeden z jachtów królewskich przybił do Portlandu. Młoda kobieca figura, w ciemnym płaszczu, zesła z niego, sama. Cień ten, zorjentowawszy się na pokrytym mrokiem brzegu, podążył prawie że biegiem do pochodni, w stronę donoszonego przez wiatr odgłosu dzwonu.

Na piasku, oparty o kamień, leżał rozpostarty na płaszczu swoim człowiek w tajemniczej masce, wstrząsany od czasu do czasu śmiertelnymi drgawkami.

— O, nieszczęsny!... zawołała, łkając i chowając twarz, młoda istota, kiedy doszła, z odsłoniętą twarzą, do niego.

— Żegnaj! Żegnaj!... odrzekł.

W oddali słychać było śpiew i śmiechy, dobiegające z podziemi feudalnego zamku, oświetlenie którego odbijało się w falach.

— Jesteś wolna!... dodał on, opierając głowę o kamień.

— Tyś wolny!... odrzekł przybyły biały cień, podnosząc złoty krzyżyk do nieba, wyiskrzonego gwiazdami, przed wzrokiem tego, kto więcej już nie mówił.

Po chwilowem milczeniu, podczas gdy ona pozostawała wciąż przed nim w tej samej pozycji, z opuszczonemi oczyma i nieruchoma:

— Do widzenia, Heleno!... szepnął on z głębokiem westchnieniem.

Kiedy po godzinnem oczekiwaniu, słudzy nareszcie przybliżyli się, zobaczyli, że młoda dziewczyna klęczała na piasku i modliła się koło ich pana.

— Księżę Portlandu umarł... rzekła.

I, wspierając się o ramię jednego z tych starców, powróciła na statek, który ją przywiózł.

W trzy dni potem można było przeczytać następującą wiadomość w „Gazecie Narodowej“:

CZYTELNIA ZJEDNOCZONA

SPÓŁKA Z OGR. ODP.

Warszawa, Marszałkowska 95

TELEFÓN 262 88

„Miss Helena G. narzeczonā księcia Portlandu, przyjąwszy katolicyzm, wstąpiła do klasztoru Karmelitek w L...“.

Cóż to była za tajemnica, dzięki której umarł potężny lord?

Raz, podczas swych dalekich podróży po Wschodzie, odłączywszy się od karawany swej w okolicach Antiochji, młody książę, rozmawiając z miejscowymi przewodnikami, usłyszał o pewnym żebraku, przed którym wszyscy uciekali w przerażeniu i który mieszkał samotnie wśród ruin.

Przyszła mu do głowy myśl, ażeby odwiedzić tego człowieka, gdyż nikt nie może uniknąć swego losu.

A ten ponury Łazarz był ostatnim na ziemi posiadaczem wielkiego starożytnego trądu, suchego i nieuleczalnego trądu, z którego tylko jedyny Bóg wyleczyć mógł legendarnych Hiobtów.

I oto, książę Portland, sam, nie zważając na błagania swych przerażonych tem przewodników, ośmielił się rzucić wyzwanie zarazie, w tej parodji pieczary, w której jęczał ten parjas ludzkości.

Mało tego, pchnięty jakąś dziwną brawurą znakomitego pana, nieulekniony do szaleństwa, błądzący arystokrata, podając garść złota temu nieszczęśliwemu umierającemu, zachciał uścisnąć mu rękę.

W tej też chwili coś, jakby obłoczek, przeszedł przed oczami jego. Wieczorem, czując, że zginął, Portland porzucił miasto i głąb kraju, i przy pierwszym ataku choroby, podążył do

morza, ażeby szukać ratunku w swym zamku rodowym lub umrzeć tam.

Lecz na widok strasznych uszkodzeń, które ukazały się podczas przeprawy, ksiązę znakomicie zrozumiał, że nie pozostała mu żadna nadzieja, oprócz prędkiej śmierci.

Wszystko było skończone Żegnaj młodość, świetność starego nazwiśka, ukochana narzeczona, utrwalenie rodu! Żegnaj siła, radość, nieprzeliczone bogactwa, piękność, przyszłość! Wszystkie nadzieje pochłonięte zostały dłonią strasznej ręki. Lord dziedziczył po żebraku. Sekunda brawury—lub prędzej,—jeden *zbyt* szlachetny ruch!... porwały to świetne życie w głębiny śmierci, pełnej rozpaczy!...

Tak zginął ksiązę Ryszard Portlandzki, ostatni trędotawy na ziemi.

Katalina.

Moja prześliczna, osamotniona willa na brzegu Marny z jej ogrodzeniem i cudnym ogrodem, tak pełnym cienia latem, tak ciepłym zimą., Książki niemieckiej metafizyki... Fortepian hebanowy z tak czystym dźwiękiem... Kostjum domowy o wyblakłej barwie... Wygodne pantofle... przyjemne światło lampy do pracy... Całe to życie głębokich marzeń, tak odpowiada mojej miłości do skupiania się... Pewnego przepięknego wieczoru zdecydowałem się zrzucić z siebie czary tego wszystkiego i na parę tygodni iść na wygnanie.

Ażeby pozwolić umysłowi odpocząć po tych oderwanych rozmyślaniach, którym zbyt długo poświęcałem swą młodzieńczą energję, stworzyłem sobie plan wesołej podróży; wypadki świata zewnętrznego swą bagatelnością rozerwą mnie, rozproszą ten smutny nastrój, jakim napełniły mój umysł zajmujące go dotychczas problematy... Chciałem... więcej nie myśleć, odpocząć umysłowo, drzemać z otwartymi oczyma... Taka podróż — rozrywka, myślałem: przedewszystkiem będzie pożyteczną dla mego drogiego zdrowia, gdyż

naprawdę, zacząłem mizernieć nad temi strąsznemi tomami. Słowem spodziewałem się, że taka rozrywka przywróci mi równowagę, i że powrócę ze świeżemi siłami, jakie mi da ten odpoczynek w pracy umysłowej.

Pragnąc w tej ekskursji usunąć od siebie wszystkie okazje do myślenia i wszelkie spotkania z ludźmi myślącymi, na całej powierzchni kuli ziemskiej upatrzyłem sobie (z wyjątkiem krajów zupełnie pierwotnych) tylko jeden kraj, którego grunt marzycielski, artystyczny i jaskrawy, nigdy nie obdarzył ludzkości metafizykiem. Nieprawdaż, z tych oznak poznajecie półwysep Iberyjski?

Powziąwszy takie postanowienie, siedziałem wieczorem w altance, w ogrodzie, śledząc wzrokiem opalowe kółka dymu z mego papierosa, z rozkoszą wciągając wonny zapach czystej kawy i, przyznaję się, nie mogłem powstrzymać się od radosnego okrzyku: „Niech żyje szczęśliwa ucieczka do Hiszpanji!...“ Oddam się czarującej władzy wzorowych arcydzieł precudnej sztuki saraceńskiej, płomienych obrazów dawnych mistrzów, urodzie waszej, blade kobiety Andaluzji, spoglądające z poza czarnych wachlarzy. Niech żyją królewskie miasta z czarującemi niebiosami, z drażniącemi wspomnieniami, które nocami, przy świetle mej lampy do pracy, widziałem w opowiadaniach turystów. Teraz i ja was zobaczę, Kadyksie, Toledo, Kordobo, Grenado, Salamanko, Sewillo, Murcjo, Madrycie, Pampeluno!... Zdecydowane!... Jedziemy!...

Że zaś ja lubię tylko przygody bardzo proste, wypadki i uczucia bardzo spokojne, odpowiadające mej cichej naturze, to przedewszystkiem zdecydowałem się kupić jeden z „Przewodników“, dzięki któremu zawczasu wiadomo, co zobaczysz, i które zabezpieczają ludzi nerwowych od wszelkich niespodziewanych wzruszeń.

Akuratnie wykonawszy to następnego dnia, zaopatrzyłem się w portfel, skromnie, lecz dostatecznie napełniony pieniędzmi; zapakowawszy swą lekką walizkę, wziąłem ją do ręki, pozostawiwszy dom na opiece swej zdumionej gospodyni, mniej więcej w godzinę potem byłem w stolicy.

Nie zatrzymując się tam, poleciłem stangretowi wieźć mnie na dworzec południowy. Następnego dnia, przez Bordeaux, przejechałem do Arcachone. Odświeżywszy się tam dobrze kąpielą morską, zjadłszy obfite śniadanie, udałem się do parku. Zobaczyłem gotowy już do odjazdu do Santander parostatek. Wsiadłem na niego.

Podnieśli kotwicę. Pod wieczór wiatr z lądu przyniósł do nas zapach drzew cytrynowych i wkrótce ujrzelśmy brzeg hiszpański, na którym wznosi się prześliczne miasto Santander, otoczone ciemniejszymi wzgórzami na horyzoncie.

Wieczór rozścielał po morzu, na złoćącym się jeszcze zachodzie, fioletowe cienie. Fale rozbijały się o skały portu djamentową pianą. Parostatek torował sobie drogę między statkami. Z wybrzeża rzucili mostek i zaczę-

pili o burzę statku. Idąc za przykładem innych pasażerów, wysiadłem na brzeg i poszedłem potem purpurowym od słońca bulwarem, pośród nowego dla mnie tłumy.

Zaczęli wyładowywać. Paki z produktami stron tropikalnych, klatki z ptactwem australijskim, krzewy—zaczęły uderzać o skrzynie z owocami z wysp.

W powietrzu unosił się zapach wanilji, ananasów i kakao. Olbrzymie paki z pieczęciami kolonji ładowano na wozy i spiesźnie odwożono w stronę miasta. Że zaś kołysanie statku znużyło mnie trochę, pozostawiłem więc walizkę swą na parostatku, a sam poszedłem szukać hotelu, ażeby spędzić w nim pierwszą noc. Pośród oficerów marynarki, spacerujących po bulwarze, ażeby popalić i odetchnąć świeżem powietrzem morskiem, mignęła przedemną jakby twarz dawnego, przyjaciela — kolegi z lat dziecięcych.

Przyjrzałem mu się uważnie i rzeczywiście, poznałem go. Był w mundurze lejtnanta. Podeszedłem do niego.

— Zdaje się, mam zaszczyt mówić z p. Gerardem de Villebraise, spytałem.

Nie zdołałem dokończyć. Z raptowną serdecznością, z jaką zwykle spotykają się rodacy na obczyźnie, porwał mnie za obydwie ręce.

— Ty!... wykrzyknął: ty, ty tu, w Hiszpanji?

— O, poprostu malutki spacerek, drogi Gerardzie.

I w dwóch słowach opowiedziałem mu całą historję swej niewinnej ucieczki.

Pod rękę poszliśmy dalej, gwarząc z sobą wesoło, jak dwaj przyjaciele, którzy spotkali się po dawnem niewidzeniu.

— Jestem tu, mówił on do mnie, już od trzech dni. Zrobiłem kilka podróży naokoło świata, obecnie wróciłem z Gwinei. Przywiozłem dla muzeum zoologicznego w Madrycie kolekcję kolibrów, podobnych do małych klejnotów ze skrzydłami; potem cebulki wielkich orchidei, kwiatów przyszłości, barwy których i upajający zapach tak oczarowują i zdumiewają Europejczyków; przywiozłem... jeszcze skarb, przyjacielu mój... Wpadniesz w zachwyt... Wspaniały okaz... kosztuje, co najmniej, sześć tysięcy franków...

Zatrzymał się i nachylił do mego ucha.

— Zgadnij! O, zgadnij,—dodał on dziwnym tonem.

W tej samej chwili między nami przesunęła się malutka, zgrabna rączka, barwy bardzo jasnego topazu i, zupełnie jak skrzydło ptaka rajskiego, spoczęła na naramienniku lejtnanta.

Odwróciliśmy się.

— Katalina!... radośnie wykrzyknął de Villebraise: dziś mi się wiedzie.

Była to młoda dziewczyna, kreolka, prawie że dziecko, z ognistego koloru fularem na głowie, z pod którego wydobywały się i biegły wokoło jej ślicznej twarzyczki tysiące kruczej czerności kędziorków. Uśmiechała się, lekko dysząc, dla tego, że biegła za na-

mi i pokazywała błyszczące zęby. Pełne purpurowe usta były do połowy rozwarte. Odychała szybko.

— Olle, krzyknęła.

I ruchomość jej żreńc, czarnych i błyszczących, ożywiła ciepłą bursztynową błądź jej policzków. Nozdrza dzikiej, pachnącej woniami dalekich wysp Antylskich, rozszerzały się. Lekko unosząca się pierś okryta była muslinem, z którego wychodziły obnażone ręce. Przy tunice z brązowego jedwabiu z złocisto-żółtymi prążkami, na wysokości pasa, wisiał lekki koszyczek z trzciny, pełny róż, ledwie się rozwijających pąków tuberoz i kwiatów pomarańczy. Przy bransoletce na lewej ręce pobrażkiwała para dźwięcznych kastaniet z czerwonego drzewa. Malutkie nóżki, w haftowanych trzewieczkach, przestępowały tym drażniącym ruchem, jaki bywa zwykle u leniwych cór Hawanny. Od tej miłej dziewczyny biła jakaś miła lubieżność. Na biodrze jej płonęły w ostatnich promieniach zachodu miedziane ozdoby baskijskiego tamburyna. Bez jednego słowa wetknęła nam w butonierki po pączku róży i mimowoli oddechaliśmy wonią jej włosów.

— Będziemy jeść obiad razem, we troje? rzekł lejtnant.

— Tak, iecz... Nie mam jeszcze hotelu na tą noc. Dopiero co przyjechałem — odrzekłem.

— Tem lepiej. Nasz hotel — tam, na skale, nad morzem. Oto ten wysoki, oddzielnie stojący dom, o 200 kroków od nas. Lubimy,

2
CZYTELNIA ZJEDNOCZONA

SPÓZKA Z OGR. ODP.

Warszawa, Marszałkowska 95

TELEFÓN 259-80

ażeby można było widzieć nasze okręta. Będziemy jeść obiad w niskiej sali z moimi przyjaciółmi marynarzami i, ma się rozumieć, jeszcze i z innymi przedstawicielami pięci pięknej w Santander. Gospodarz ma świeży Xeres. Pije się go jak wodę, ten Xeres Rycerzy... Lecz do tego trzeba przyzwyczać się. Idziemy zatem, dodał, obejmując w pól piękną mulatkę, która nie stawiała oporu i patrzyła na nas.

Noc przyjmowała ostatnie pożegnanie odchodzącego słońca.

Fale na widnokregu podobne były do ruchomych stosów. Wiatr zachodni roznosił po brzegu cierpki zapach morza. Szliśmy spiesznie po purpurowym wskutek zachodu słońca piasku. Katalina biegła przed nami i starała się złapać tamburynem motylki, których pędziła zapadająca ciemność z drzew pomarańczowych na ocean.

I na bladym błękitcie nieba ukazywała się już Wenera.

— Noc będzie bezksiężycowa, rzekł de Villebraise: smutne to, gdyż moglibyśmy spacerować po mieście. Ba, zrobimy jeszcze lepiej.

— Czy ta prześliczna dziewczyna — twoja? spytałem.

— Nie, to kwiaciarka z bulwaru. Istota ta może żyć pomarańczami, papierosami i chlebem razowym, lecz kocha tylko tych, kto jej się podoba. Na bulwarach hiszpańskich dużo jest, mój drogi, tych sprzedawczyń róż. Moja sympatja przemieszkuje pod 44

stopniem południowej szerokości. Jeżeli prze-
mówiło w tobie serce, zacznij się o nią sta-
rać. Chcesz?... Lecz oto i hotel...

Ukazał się właściciel, z siatką na głowie,
i gościnnie nas przywitał.

Lecz kiedy przestąpiliśmy próg, lejtnant
naraz drgnął i zatrzymał się odrazu, widocz-
nie pobladył.

Sympatyczna twarz młodzieńca stała się
naraz zdumiewająco smutną.

Uściskał mi rękę i, pomyślawszy trochę,
uważnie popatrzał mi w oczy, mówiąc:

— Daruj, drogi przyjacielu, lecz, zdu-
miony niespodziewanem spotkaniem z tobą,
zapomniałem, że nie powinienem i nie mogę
dzisiejszego wieczoru używać rozrywki. Dziś
dla mnie — dzień smutku. Dziś święta dla
mnie rocznica. Akurat trzy lata upływają od
chwili, gdy straciłem matkę. W kajucie mam
rzeczy, pozostałe po tej świętej i drogiej ko-
biecie — i, ma się rozumieć, chcę pozostać
sam na sam ze swojemi wspomnieniami. Rę-
ka — i do jutra... Zabaw się dobrze, dodał
patrzając na nas: jutro przyjdę i obudzę cię...
Pokój dla tego pana!... zawołał do gospo-
darza.

— Bardzo żałuję, lecz pokoje wszystkie
zajęte, odrzekł tenże.

— Poczekaj, rzekł z niepokojem de-Ville-
braise: weź mój klucz. Wyśpisz się dobrze,
łóżko znakomite.

Oczy jego były smutne i roztargnione.
Jeszcze raz uściskał mi rękę, pożegnał się

z dziewczyną, i szybko poszedł bulwarem, nie dodając ani słowa.

Trochę oszołomiony niespodziewanym pośpiechem tego co zaszło, przez pewien czas ścigałem go wzrokiem, w którym było zwątpienie i zaduma i który mówił: „Každy ma swoich nieboszczyków...”

Weszłem potem do hotelu.

Katalina poszła naprzód do niskiej sali, wybrała u okna, wychodzącego na morze, małe stoliczki, okryte białą serwetą. Gospodarz postawił dwie zapalone świece.

Przyznaję, pomimo smutnych chmurek, które spowiły mi duszę po słowach przyjaciela, nie bez przyjemności byłem posłuszny wzrokowi tej prześlicznej czarownicy, zapraszającej mnie, bym usiadł. Usiadłem obok niej. Wszystko to było również przyjemne, jak i niespodziewane.

Jedliśmy obiad, prawie że u samych fal, które z prawdziwą miłością tuliły się przy świetle gwiazd do szczęśliwego brzegu. Rozumiałem wesołą paplaninę Kataliny, chociaż jej hawańsko-hiszpańską mowę pstrzyły nieznanome mi słów

Wokoło nas jedli w tej sali obiad i inni oficerowie, turyści, podróżnicy, również z bardzo pięknymi tuziemnymi dziewczętami.

Naraz, przy piątej szklance Xeresu, zauważyłem, że słowa lejtnanta były dość zasadnicze. Oczy mi powlekły się mgłą i od złośliwych oparów wina, głowa zaczynała mi ciężyc. Katalinie oczy również płonęły. Dwa papierosy, które mi podała, uprzednio zapa-

liwszy, ostatecznie upoiły mnie. Z głośnym śmiechem położyła palec na mojej szklance, nie pozwalając mi pić.

— Zbyt późno, rzekłem do niej,

I, wkładając do jej malutkiej rączki dwie złote monety dodałem:

— Oto, weź. Jesteś czarująca... Lecz... cięży mi głowa... Chcę spać...

— I ja,—odrzekła.

Zawezwałem znakiem gospodarza hotelu i poprosiłem o wskazanie mi pokoju lejtnanta. Wyszliśmy z sali. Wziął on lichtarz, do żelaznej podstawy jego nakładł zapalek. Zaczęliśmy wchodzić po schodach. Świeca rozjaśniała nam drogę. Katalina szła za nami, przytrzymując się poręczy i dusząc w sobie swój miły, trochę zuchwały śmiech.

Na pierwszym piętrze przeszliśmy długi korytarz; na końcu jego gospodarz hotelu zatrzymał się przed drzwiami. Wziął odemnie klucz, otworzył drzwi, że zaś ktoś wołał go z dołu, podał mi spieszenie świecę.

— Dobrej nocy.

Wszedłem do pokoju.

Przy migającym świetle świecy, coraz bardziej zamglonemi wskutek hiszpańskiego wina oczyma, jakkolwiek obejrzałem pokój: zwykły numer. Długi i wąski. W głębi między dwoma oknami, ciężka szafka lustrzana, nabyta widocznie okazjnie, odbiła mnie i kreolkę. Komin bez zegara, z ekranem. Słomiane krzesło przy łóżku, dotykające wezglowiem drzwi.

Podczas gdy przekręcałem klucz, dziewczyna, nogi której, również jak i moje, tak zdradziecko i bezsensownie się chwiały, rzuciła się ubrana na łóżko. Tamburyn i koszyk pozostawiła na dole, na stole. Postawiłem lichtarz na krześle; usiadłem na łóżku obok tej wesołej dziewczyny. Położyła głowę na rękę i jakby już zupełnie usnęła. W ruchu, który zrobiłem, ażeby ją pocałować, dotknąłem głową do jednej z poduszek. Wbrew woli zamknąłem oczy. Również zupełnie ubrany, wyciągnąłem się obok niej i bardzo szybko pogrążyłem się w głęboki i słodki sen.

Okolo północy, obudziwszy się od jakiegoś nieokreślonego pchnięcia, usłyszałem w ciemności (świeca wypaliła się i zgasała), jakiś lekki szum, zupełnie jakby pękającego starego drzewa. Nie nadałem temu znaczenia. Jednakże rozwarłem szeroko w ciemności oczy.

I w ciemności tej odżyły wyraźnie: mój przyjazd, brzeg, wieczór, lejtnant Gerard, Katalina, rocznica, Xeres. Przejął mnie żal po mej spokojnej, malutkiej willi na brzegu Marny, mego pokoju, moich książek, mojej lampy do pracy i wszystkich porzuconych przezemnie prac umysłowych. Tak upłynęło pół minuty.

Obok słyszałem równy oddech kreolki, która jeszcze spała.

Wiatr doniósł do mnie bicie zegara na jakimś starożytnym kościele w mieście: biła północ.

Dziwno wydało mi się (widocznie, to była myśl ze snu, bezsensowna, niezwykła... lecz, przecież, już nie spałem?) wydało mi się przy pierwszych zaraz uderzeniach, padających z dzwonnicy w przestrzeń, że wahadło tego dalekiego zegara znajduje się w moim pokoju i w ciemnych miarowych rozmachach, kolejno uderza to w mur ściany, to o przepierzenie sąsiedniego pokoju.

Oczy moje napróżno siliły się przeniknąć tą ciemność pośrodku pokoju, gdzie stuk wahadła w dalszym ciągu odmierzał czas.

I przytem, jeżeli mam mówić całą prawdę, i szum wiatru morskiego, który jakby przenikał przez szczeliny w oknie, zaczynał wydawać mi się dość dziwnym: podobnym był do świstu.

Przy akompaniamencie bicia niewidzialnego wahadła i ohydnego szumu wichru morskiego, ta powoli pełznąca noc wydawała mi się bez końca.

Co takiego?... Co to się dzieje w hotelu?... Na górnych piętrach i w sąsiadujących z moim pokojach zupełnie jakby szeptano, dławiąc się... Zastukały po podłodze ciężkie podeszwy... Zupełnie, jakby ktoś spiesznie uciekał...

Wyciągnąłem rękę do kreolki, ażeby obudzić ją. Lecz dziewczyna obudziła się już sama, nerwowo ścisnęła mnie za rękę i ruch jej wywarł na mnie wrażenie nieprzewyższonego strachu. I po tem,—co jeszcze więcej spotęgowało we mnie zimny strach, cały zdrętwiałem, — widocznie, chciała ona coś po-

wiedzieć, lecz nie mogła i słyszałem, jak dzwoniły jej zęby w tej czarnej ciszy. Ręka jej, całe ciało, drgało konwulsyjnie. Znaczy się, ona *wie?*... Znaczy się, ona *rozumie*, co to wszystko znaczy? Wstałem szybko. W oddali jeszcze drżało ostatnie uderzenie minionej północy. Ze wszystkich sił krzyknąłem w ciemność:

— Co się tu takiego dzieje?...

Na to pytanie ze wszystkich stron hotelu odpowiedziały mi ochryple i grube głosy, zagłuszone i przerywane przez strach paniczny.

— Eh!... Pan przecież sam dobrze wie, co to takiego.

Brali mnie za lejtnanta. Głosy ciągnęły dalej:

— Do diabła...

— Trzeba być warjatem, niech was pionun spali, ażeby spać w jednym pokoju z szatanem.

I wszyscy z hałasem biegli korytarzem i w dół po schodach.

Z tych słów niejasno zrozumiałem, że spałem snem sprawiedliwego, a tuż obok tkwiło jakieś wielkie niebezpieczeństwo. Raz już uciekali przed tem z takim pośpiechem, bezwątpienia, że to straszne niewiadome było potworne.

Śmiertelny strach ścisnął serce moje. Odepchnąłem kreolkę i poomacku znalazłem na lichtarzu zapałki. Ach, one tak prędko wyjdą. Zacząłem spieszenie szukać w kieszeniach, znalazłem jeszcze nie rozwinięty nu-

mer gazety, którą kupilem w Bordeaux. W ciemności zwinąłem ją jak pochodnię, i gorączkowo potarłem po drzewie łóżka wszystkimi zapalkami.

Siarka dość długo się rozpałała. Nareszcie, udało mi się zapalić moją improwizowaną pochodnię i obejrzeć pokój.

Hałas ucichł.

Nic... Nic nie widziałem, oprócz siebie samego, odbitego w lustrze szafy, a po za mną dziewczeczkę, która stała teraz na łóżku, przytulona plecami do ściany; dłonie jej z rozpostartymi palcami, zupełnie jakby przylepiły się do białego kamienia, oczy były rozszerzone i nieruchomo wpatrywały się w coś, czego ja nie widziałem, dzięki nadzwyczajnemu podnieceniu swemu.

Naraz odwróciłem głowę z przerażenia, mrożącego krew w żyłach, tak, że omało co nie straciłem zmysłów. Jakież odbicie zobaczyłem jeszcze w lustrze!... Lecz nie śmiałem uwierzyć szalonemu świadectwu mych źrenic. Ah! demon!... Spojrzałem znów, i znów poczułem, że padnę zaraz zemdlony, oczy moje wpiły się w ten przedmiot.

Więc to jest skarbem mego przyjaciela, dobrego syna, który w tejże samej chwili, prawdopodobnie, modli się u siebie w kajucie...

W około czterech nóżek wielkiej szafy, przewiązany na krzyż cienkimi morskimi sznurkami, był oplątany olbrzymi boa - dusiciel, straszny pyton, dziesięć do dwunastu

metrów długości, jakie niekiedy znajdują się pod wstrętными kaktusami Gwinei.

Rozbudzony ze snu bólem jaki sprawiły mu sznury, straszny wąż, pełznąc powoli, wylazł blisko na trzy i pół metra ze sznurów.

To białe ciało zwierzęcia, było tem wadłem, uderzającym, to w prawą, to w lewą ścianę, starając się wyswobodzić ze swych pęt.

Teraz wąż, wciąż jeszcze przywiązany wyciągał się ku górze, do mnie, z głębi pokoju; zielonkawo-bronkowy, z czarnymi, błyszczącymi plamkami, stał nieruchomo na całą wysokość wolnej części swego ciała, wprost naprzeciwko nas.

I z olbrzymiej paszczy z czterema równoległymi czeluściami, strasznie rozciągniętymi pod tępym kątem, wysuwał się i poruszał długi, rozdwojony język, a pałające jak węgle okrutne oczy patrzyły na mnie.

Wściekły świst, który ja dzięki rozespaniu wziąłem za szum wichru morskiego, z przerwami wyrywał się z pałającej przepaści bliżej, niż o dwie stopy od mojej twarzy.

Naraz, zobaczywszy to wszystko, poczułem śmiertelną mękę; zdawało mi się, że w głębi mej duszy przeblysnęło całe życie moje. W tej chwili, kiedy już poczułem, że tracę zmysły, powróciły mnie do życia krzyki rozpaczliwie łkającej kreolki, która odrąza w ciemności, zrozumiała, co oznacza ten świst.

Rozwścieczona głowa, drobnemi pchnięciami wciąż zbliżała się do nas...

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, przeskoczyłem przez wezgłowie łóżka ze swoją pochodnią w rękę, szeroki płomień której otoczony dymem, jeszcze jasno oświetlał pokój. Otworzyłem drzwi; ręka moja drżała ze wzruszenia; porwałem z sobą i dzieweczkę, która cała drżała i nie odrywała oczu od drakena. Widząc, że uciekamy, podwoił jeszcze swe wysiłki, ażeby dosięgnąć nas. Rzuciliśmy się do wielkiego korytarza, szybko i z siłą zatrzaskując drzwi za sobą. Z pokoju dobiegał przeraźliwy stuk łamanej i upadającej szafy i łączył się ze złowieszczemi uderzeniami ciężkich pierścieni węża, rzucającego się w potwornym szale do pokoju i przewracającego meble.

Z szybkością błyskawicy zbiegliśmy na dół.

Na dole — nikogo. Sala — zupełnie pusta, drzwi na brzeg otwarte.

Nie tracąc czasu na niepotrzebne wyjaśnienia, wybiegliśmy z hotelu.

Na brzegu, kreolka jak szalona, zapomniawszy o mnie, pobiegła do miasta.

Widząc, że jest bezpieczną przed groźcą jej niebezpieczeństwem, pobiegłem do portu, błyszczącego na dole swemi olbrzymimi latarniami. W dawało mi się, że straszny zwierz przewala swe pierścienie po bulwarze w ślad za mną, i oto — oto, dosięgnie mnie.

W kilka chwil po tem, zabrawszy swój kufar z „Bystrego“, pobiegłem do przystani

parostatku „Baczný“, dającego już dzwonkiem znak, że odbija do Francji.

W trzy dni potem, powróciwszy do swego miłego i cichego domku na brzegu Mar-ny, siedząc w fotelu, otulony w ciepły ko-
stjum domowy, w pantoflach, otwierałem
znów księgi metafizyków niemieckich, znaj-
dowałem, że umysł mój odpoczął dostatecznie,
ażeby na czas nieokreślony odłożyć wszyst-
kie projekty nowych wycieczek dla rozryw-
ki wśród wypadków świata zjawisk.

Królowa Isabeau.

Okolo 1404 r. (cofam się tak daleko w głąb wieków tylko dlatego, ażeby nie zawstydząć osób współczesnych) — Isabeau, żona króla Karola VI, regentka Francji, wybrała na swoje mieszkanie w Paryżu starożytny hotel Montagne, rodzaj pałacu, więcej znanego pod nazwą hotelu Barbette.

Tam odbywały się znakomite walki przy pochodniach na Sekwannie: były to wspaniałe nocne igrzyska z muzyką, jednakowo zdumiewające pięknnością kobiet i młodych wielmożów, jak i niesłychanym przepychem, jaki okazywał tam dwór.

Królowa dopiero co wznowiła te suknie „à la gore“, w których pierś przeglądała przez siatkę ze wstążek, ozdobioną drogiemi kamieniami i te uczesania, które zmusiły do podniesienia o kilka łokci łuków drzwi zamków feodalnych. W dzień, miejscem spotkania dworzan (znajdującem się w pobliżu Louvru) była główna sala i taras z drzewami pomarańczowemi, należący do królewskiego skarbnika, monsieur Escabala. Tam szła gruba gra, i często z kubków podczas gry w galbik, rzucano kości o stawki, wysokość których

zdolną była przyprawić o głód całe prowincje. Rozrzucano powoli całe skarby olbrzymie, zebrane z takim trudem przez oszczędnego Karola V. Lecz jeżeli zmniejszały się finanse, to chętnie podwyższano podatki, opłaty, pańszczyzny, cła, subsydja solne i inne, sekwestry i wszelkie pobory aż do nieskończoności. Radość panowała we wszystkich sercach.

To było również w tych samych czasach, kiedy ponury, trzymający się na boku i poczynający od tego, że we władaniach swoich zniósł wszystkie te ohydne pobory, Jan de Nevers, rycerz Saali, hrabia Flandrji i d'Artois, hrabia Nevers, baron de Retel, paladyn Malin, dwukrotnie par Francji i przełożony parów, cioteczny brat króla, rycerz ogłoszony później przez sobór w Konstancji *jedynym* głównodowodzącym armją, któremu powinna ona być posłuszną ślepo bez wyjątku, pierwszy wielki wasal królestwa, pierwszy z poddanych króla (który sam tylko jest pierwszym poddanym narodu), dziedziczny książę Burgundji, przyszły bohater Nikopoli i tego zwycięstwa pod Isbes, podczas którego, opuszczony przez flamandczyków, zdobył sobie bohaterską nazwę Nieustraszonego przed całą armją, ratując Francję od najpierwszego wroga, to było, mówimy, za dni syna Filipa Śmiałego i Małgorzaty II, słowem, Jana Nieustraszonego, który wtedy już zamysłał oddać ogniowi i mieczowi, dla ocalenia swej Ojczyzny, Henryka Derby, hrabięgo Herfordt i Lankastru, piątego, noszącego to imię, króla Anglji, i który — gdy na głowę jego na-

znaczoną została przez tegoż króla cena — osiągnął we Francji tylko to, że został ogłoszony zdrajcą.

Niezręcznie zabierano się do gry w karty, przywiezione dopiero przed kilku dniami przez Odette de Saint-Diver.

Zakładano się o przeróżne rzeczy; pito wina, pochodzące z najlepszych wzgórz księstwa Burgundzkiego. Dźwięczały „teusony“ i „virele“ księcia Orleańskiego (jednego z dworzan „Kwiatów Lilji“, którzy najwięcej lubili przesłiczne rymy). Spierano się o wady i broje, często śpiewano swawolne piosenki.

Córka bogacza tego, Berenika Escabal, była przesłicznym dzieckiem, najpięknijszem z pięknych. Dziewiczy jej uśmiech pociągał błyszczący rój dworzan. Wiadomem było, że uprzejmość jej nie znała wyjątków dla nikogo.

Zdarzyło się razu pewnego, że pewien młody dostojnik, widam de Moll, będący w czasie owym faworytem Isabeau, odważył się przysiąc (po kilku pucharach wina, ma się rozumieć), że zwycięży niepokonaną niewinność córki tego zucha Escabala; prościej mówiąc, że będzie ona należała do niego w czasie możebnie najkrótszym.

Było to powiedziane w gronie dworzan. W około rozlegał się śmiech i piosenki tego czasu; lecz gwar nie pokrył nieostrożnych słów młodego człowieka. Zakład, przyjęty przy brzęku pucharów, doszedł do uszu Ludwika Orleańskiego.

Ludwik Orleański, dziewierz królowej, był odznaczony przez nią, od pierwszych zaraz dni jej regencji, namiętnem przywiązaniem. Był to świetny, samowolny dostojnik, lecz z ciemną duszą. Między Izabelą Bawarską a nim, było jakieś podobieństwo duchowe, które związek miłosny czyni podobnym do kazirodztwa. Nie licząc kapryśnych powrotów poblakłej czułości królowej, umiał zawsze chować w sercu jej dla siebie coś w rodzaju pobocznego przywiązania, podobnego raczej do kontraktu, niż do sympatji.

Księżę obserwował faworytów swej krewniczki. Kiedy zaczynało mu się wydawać, że kochanek zbyt bliski jest dla królowej, i że zagraża to temu wpływowi, jaki on chciał zachować nad królową, był niezbyt wybrednym w środkach, prowadzących do rozwiązania prawie zawsze tragicznego, choćby nawet takim środkiem była denuncjacja.

Więc wyżej wymieniona rozmowa powtórzoną została, dzięki jego staraniom, królewskiej przyjaciółce vidama de Molla.

Isabeau uśmiechnęła się, zażartowała z tej umowy, i przybrała minę, że więcej już nie zwraca na nią uwagi.

Królowa miała swoich czarodziejów, którzy sprzedawali jej sekretne środki Wschodu, zdolne rozpalić w sercach ogień pragnienia dla niej. Nowa Kleopatra była wielką rozkosznicą, stworzoną raczej do przewodniczenia nad dworami miłości w głębi jakiegobądź zamku, lub też dla rozpowszechniania mód na prowincji, niż do tego, ażeby myśleć o

uwolnieniu ojczyzny od anglików. W tym wypadku zresztą, nie naradzała się ona z żadnym ze swoich czarodziei, nawet z Arno Guillemem, alchemikiem.

W kilka dni potem w nocy, sir de Molle, był w pobliżu królowej, w hotelu Barbette. Godzina była późna; zmęczenie, wywołane rozkoszą, usypiało obydwójce kochanków.

Naraz de Moll, posłyszał, wśród Paryża dźwięki dzwonów, kołysanych oddzielnymi i ponuremi uderzeniami.

Zerwał się.

— Co to jest?... spytał.

— Nic. Zostaw!... odrzekła Isabeau wesoło i nie otwierając oczu.

— Jakto nic, moja prześliczna królowo? Czyż to nie alarm?...

— Tak... być może. No, więc cóż, przyjacielu.

— Zapalił się czyjś pałac?

— Akurat miałam taki sen, — rzekła Isabeau.

Perłowy uśmiech otworzył usta nawpółsennej piękności.

— Mało tego, — ciągnęła: śniło mi się, żeś to ty podpalił. Widziałam jakęś ty, ukochany, rzucał pochodnię na śpichrze i składy oleju.

— Ja?

— Tak!... przeciągnęła sylaby z pieśczołą: tyś podpalił dom messira Escabala mojego skarbnika; rozumiesz, ażeby wygrać ten zakład.

Sir de Molle znów otworzył do połowy oczy, ogarnięty smutnem przeczcuciem.

— Jaki zakład? Czy nie śpisz jeszcze mój skarbie?

— A ten twój zakład o to, że zostaniesz kochankiem córki jego, malutkiej Bereniki, która ma takie przesłiczne oczy! O! cóż to za piękna i miła dziewczeczka, nieprawdaż?

— Co pani mówi, droga Isabeau?

— Czyż pan mnie nie zrozumiał, signore? Śniło mi się, jakim już panu mówiła, że pan podpalił dom mego skarbnika, zamierając porwać córkę jego podczas pożaru i uczynić ją swoją kochanką, ażeby wygrać swój zakład.

Vidam popatrzył wokoło siebie w milczeniu.

Zarzewie oddalonego pożaru oświetlało rzeczywiście barwne szyby pokoju; w purpurowych blaskach ociekały krwią gronostaje królewskiego łoża. Kwiaty lilji na herbach i te, co umierały w emaljowanych wazonach, płonęły purpurą! Czerwonemi były również obydwie puchary na stoliku, zastawionym winami i owocami.

— Ach! przypominam...—przemówił półgłosem młody człowiek: — prawda, chciałem skierować wzrok swój na tą dziewczynkę, ażeby oderwać je na chwilę od naszego szczęścia. Lecz popatrzno Isabeau: to rzeczywiście wielki pożar, i języki ogniste podnoszą się od strony Louvréu!

Przy tych słowach królowa uniosła się na łokciu, bardzo uważnie i nie mówiąc,

popatrzała na vidama de Molle, pokiwała głową; potem spokojna i śmiejąca się—przytuliła w długim pocałunku usta swe do ust młodego człowieka.

— Powiesz to wszystko mistrzowi Capelucho, kiedy będzie wyciągać cię w kole na placu de Greve w tych dniach. Tyś nikczemny podpalacz, moja radości!...

Że zaś wonie, roztaczane jej wschodniem ciałem, odurzały i paliły świadomość do tego stopnia, że odbierały zdolność myślenia, przytuliła się do niego.

Alarm nie milkł; można było w oddali rozróżnić krzyki tłumu.

De Molle odpowiedział, żartując:

— Wszakżeż potrzeba jeszcze dowieść winy.

I oddał jej pocałunek.

— Dowieść ją, wstrętny?

— Ma się rozumieć!

— Czyż ty byś mógł dowieść liczby pocałunków, jakie otrzymałeś odemnie? To wszystko jedno, co policzyć motylki ulatujące w letni wieczór!

Wpatrywał się w kochankę swoją, tak namiętną i tak bladą, która dopiero co darzyła go pieśzcotami i rozkoszami najwyszukańszej lubieżności.

Wziął ją za rękę.

— Przytem, to będzie bardzo łatwe, ciągnęła dalej młoda kobieta. Dla kogóż to byłoby korzystniejszem skorzystać z pożaru, ażeby porwać córkę messira Escabala? Dla ciebie jednego. Tyś się zobowiązał słowem

honoru przy zakładzie. Że zaś ty nigdy nie ośmielisz się powiedzieć, gdzieś się znajdował o tej godzinie, kiedy wybuchnął pożar... Widzisz, że to w zupełności wystarczy, ażeby w Chatelet wszcząć proces kryminalny. Z początku zbadają, a potem... (cicho ziewnęła) tortury zrobią resztę.

— Nie ośmielę się powiedzieć, gdzie byłem?... spytał de Molle.

— Ma się rozumieć, gdyż przy życiu króla Karola VI, byłeś o tej godzinie w objęciach królowej francuskiej: jakież z ciebie dziecko!

Śmierć wstawiała w rzeczywistości straszna i po obydwóch stronach oskarżenia.

— Masz rację!... rzekł sir de Molle, oczarowany czułem spojrzeniem swej przyjaciółki.

W upojeniu otaczał ręką jej młode ciało, wyginające się w falach włosów, ciepłych i ryżych, jak przepalone złoto.

— Wszystko to sen—rzekł on: życie mojej

Wieczorem zabawiali się muzyką; cytolla jego rzuconą została na poduszkę; jedna struna pękła sama przez się.

— Uśnij mój aniele! Tobie się chce spać!... rzekła Isabeau, lubieżnie przytulając do swej piersi czoło młodego człowieka.

Szelest, spowodowany przez instrument, zmusił go do drgnięcia: zakochani wierzą w przesadne oznaki.

Na drugi dzień vidam de Molle został aresztowany i rzucony do więzienia Grande-

Chatelet. Oskarżenie sformułowane było właśnie tak, jak przepowiadała Isabeau. Wszystko właśnie odbyło się tak, jak mu oznajmiła ta ukoronowana czarodziejka, „piękność której była tak potężną, że powinna była przeżyć wszystkie jej przygody miłosne“.

Vidame de Molle nie mógł znaleźć tego, co w terminologii prawnej nosi nazwę *alibi*.

Był skazany na wplecenie w koło po przedwstępnej, zwykłej i nadwyczajnej torturze podczas badania.

Kara dla podpalaczy, czarna firanka i t. p. nic nie było zapomniane.

Tylko dziwny wypadek zaszedł w Grande-Chatelet.

Adwokat młodego człowieka przywiązał się do niego głęboko; de Molle przyznał mu się do wszystkiego.

I wobec niewinności de Molla, obrońca jego okazał się winnym bohaterskiego czynu.

W przeddzień egzekucji przyszedł on do więzienia skazanego i dał mu uciec przy pomocy jego odzieży adwokackiej. Krócej mówiąc, zastąpił on go sobą.

Czy był to człowiek ze szlachetniejszym sercem? Czy był to człowiek chciwy zaszczytów, odważający się na fatalną stawkę? Kto dowie się o tem kiedy bądź?...

Jeszcze cały rozbity i spalony torturą, vidam de Molle przedostał się przez granicę i umarł na wygnaniu, lecz za to adwokata pozostawili na jego miejscu.

Prześliczna przyjaciółka widama de-Molle,

dowiedziawszy się o ucieczce młodego człowieka, poczuła tylko nadzwyczajne oburzenie*).

Nie zapragnęła uznać obrońcy swego przyjaciela.

Ażeby imię p. de Molle było wykreślone z listy żywych, rozkazała, ażeby tam nie wiem co, wykonać wyrok.

W ten sposób adwokat został wpleciony w koło na placu de Greve, na miejscu i zamiast sire de Molle.

Módlcie się za nich.

*) Rzecz dziwna i również mało znana, jak i wiele innych! Prawie wszyscy historycy tego czasu twierdzą jednogłośnie, że królowa Izabella Bawarska, od samego ślubu aż do tej chwili, kiedy obłęd króla stał się wiadomym, przedstawiła się ludowi, ubogim i wszystkim — „aniołem dobroci, świętą i rządzą wiedzą księżniczką”. Trzeba przypuszczać zatem, że prawdziwa choroba króla i bezgraniczna rozpusta dworu, okazały swój wpływ na nową zmianę, jaką przybrał jej charakter od tych dni o których mówimy.

Wiara.

Miłość silniejszą jest od śmierci, rzekł Salomon; a jej tajemnicza władza jest bezgraniczną.

Działo się to na schyłku dnia jesiennego, w teraźniejszym czasie, w Paryżu. Do ciemnegoprzedmieścia Saint-Germain mknęły ekwipaże z zapalonemi latarniami, spóźnione po godzinnym spacerze w lasku Bulońskim. Jeden z nich zatrzymał się przed portalem dużego domu arystokratycznego, otoczonego przez odwieczny ogród, nad łukiem wznosiła się kamienna tarcza, z herbem starożytnej rodziny hrabiów d'Athol, a mianowicie: na lazurowym polu z srebrną gwiazdą po środku, dewiza „Palida Victorix“, pod koroną książęcą, otoczona gronostajami. Ciężkie drzwi rozwarły się. Człowiek lat trzydziestu — do trzydziestu pięciu, w żałobie, o śmiertelnie bladej twarzy, wyszedł z powozu. Na ganku ponurzy służący trzymali pochodnie. Nie widząc ich, zaczął wchodzić po stopniach. Był to hrabia d'Athol.

Chwiejąc wszedł po białych schodach, które prowadziły do tego pokoju, gdzie jeszcze rano ułożył w aksamitnej trumnie

i okrył fiolkami w falach batystu, swą ukochaną, swą drogą małżonkę Wiare, — swą rozpacz.

Na górze cicho drzwi otworzyły się, stanął na kobiercu i uniósł portjerę.

Wszystkie przedmioty były na tem samym miejscu, gdzie w przeddzień pozostawiła je hrabina. Niespodziewana śmierć raziała ją jak gromem. Zeszłej nocy ukochana jego osłabła z pieaszcot i zachwyków, wyczerpała się w uściskach tak rozkosznych, że serce jej, rozbite upojeniem, nie wytrzymało: wargi jej niespodziewanie okryły się purpurą śmierci. Ledwie zdążyła dać małżonkowi swemu pocałunek pożegnalny, uśmiechając się, nie mówiąc ani jednego słowa; potem jej długie rzęsy, podobne do żałobnych woali, opuszczyły się na przecudną noc jej oczu.

Upłynął dzień, który niema nazwy. Około południa hrabia d'Athol, po strasznej ceremonji w grobowcu rodzinnym, odesłał z cmentarza ponury orszak, potem zamknąwszy się sam między czterema ścianami marmurowemi, przyknuął za sobą żelazne drzwi mauzoleum. Na trójnogu przed trumną, paliło się kadzidło; świecący wieniec lampek u wezglowia młodej zmarłej, błyszczał nad nią jaskrawo.

Hrabia, zadumany, przepelniony tylko uczuciem beznadziejnej czułości, pozostał tam, stojąc, dzień cały. Około godziny szóstej wieczorem, o zmroku, porzucił miejsce poświęcane. Zamykając podziemia, wyrwał z zamku srebrny klucz i, sta-

nąwszy na ostatnim stopniu progu, ostrożnie rzucił go wewnątrz grobowca. Rzucił go na wewnętrzne płyty przez otwór w formie koniczyny, widniejący nad portalem. Po co?... Prawdopodobnie zdecydował się w tajemnicy nigdy tu nie powracać...

A teraz znów zobaczył opustoszały pokój.

Okno, za szerokimi draperjami z kaszmiru koloru mauve, przetykanego złotem, było otwarte: ostatni promień wieczorny oświetlał w ramie ze starożytnego drzewa, wielki portret zmarłej. Hrabia popatrzał wokoło siebie: suknie, przez nią w przeddzień rzucone na krzesło; na kominku klejnoty, kolja z pereł, nawpółzamknięty wachlarz, ciężkie flakony perfum, wachać których *Ona* nie będzie już więcej. Na łóżku z hebanu z kręconymi kolumnami, pozostałem niezastanem, około poduszki, na której pośród koronek widoczny był jeszcze ślad cudnej, ubóstwianej głowy, zobaczył on chustkę, w której przed śmiercią drżały skrzydła jej młodej duszy. Otwarte pianino, tające w sobie na wieki niedokończoną melodię, kwiaty indyjskie, zerwane przez nią w oranżerji i umierające w starych z saskiej porcelany wazonach; a w nogach jej łóżka, na czarnem futrze, małe pantofelki z wschodniego aksamitu, na których błyszczała wyhaftowana perłami tryumfalna dewiza wiary: *Qui verra... Véra l'aimera*; obnażone nogi ukochanej igrały w nich wczoraj rano, i puch łabędzi całował je na każdym kroku! A tam, tam, w cieniu — zegar,

sprężynę którego on złamał, ażeby więcej już nie bił innych godzin!

A więc, odeszła... *Gdzie?...* Czy żyć teraz?.. POCO?.. To było niemożliwe, głupie.

I hrabia gubił się w nieznanych rozmyślaniach.

Myślał o całym przeszłym swem życiu. Sześć miesięcy minęło od dnia ich ślubu. Wszak to za granicą, na balu w jednym z poselstw, zobaczył Wiarę po raz pierwszy?.. Tak, ta chwila wskrzeszała przed jego wzrokiem, z całą jasnością. Znow widział przed sobą ten bal i ją, błyszczącą. Tego wieczoru spojrzenia ich spotkały się. Poznali jedno drugie, zrozumieli w samej głębi duszy, że bliscy są sobie, że powinni kochać jedno drugie — na wieki.

Kłamliwe zarzuty, obłudne uśmiechy, oszczerstwa, wszystkie te trudności, jakie stawia świat, ażeby powstrzymać nieuniknione szczęście tych, którzy należą jedno do drugiego, rozproszyły się wobec spokojnego przekonania jednego do drugiego, które owładnęło nimi w jednej chwili.

Wiara, znużona wymyślnymi warunkami swej sfery, przy powstaniu pierwszych trudności, wprost przyszła do niego; upraszając tym królewskim czynem wszystkie te głupie zabiegi, w których zazwyczaj gubi się drogocenny czas życia.

I wszystkie puste gadania, jakie na ich conto prowadził obojętny tłum, przy pierw-

szych słowach wydały się im stadem nocnych ptaków, powracających w mrok! Jakie uśmiechy zamieniali! Jakie niewypowiedziane uściski.

Jednakże, dusze ich były, na prawdę, z bardzo dziwnych! To były dwie istoty, obdarzone cudowną wrażliwością, lecz wyjątkowo ziemską. Wrażenia te ciągnęły się u nich z nerwowem napięciem. Przeżywając je, w wrażeniach tych zapominali sami siebie. Przeciwnie, niektóre idee, idee duszy, naprzykład, bezkrańcowości, *nawet idea Bóstwa*, były jakby ukryte przed ich rozumem. Wiara większości ludzi w rzeczy nadnaturalne była dla nich tylko przedmiotem zdumienia: nieprzenikniona tajemnica, nad którą nie zamyślali się, gdyż nie mieli możliwości ani przyjąć ją, ani odrzucić. Oto dlaczego, jasno zdając sobie sprawę z tego, że świat jest im obcy, usunęli się natychmiast po ślubie do tego starożytnego i ponurego domu, gdzie głuchy ogród łagodził gwar zewnętrzny.

Tam obydwójce zakochanych utonęli w tym oceanie wyczerpujących i wymyślnych rozkoszy, w których duch łączył się z tajemnicą ciała. Do dna samego wyczerpali całą siłę pragnień, wszystkie drgnienia i wszystkie wyszukane pieszczoty. Każde z nich stało się drzeniem życia drugiego. Dusza w nich tak w zupełności przenikała ciało, że kształty ciał ich wydawały się, jakby uduchowionemi, a pocałunki, jak ogniste

pierścienie łańcucha, skuwały ich w potężeniu nierozzerwanem. Długi zachwyty!.. I zaraz oczarowanie znikło; straszny wypadek rozłączył ich, ręce ich rozwarły się. Co za cień odebrał mu drogą zmarłą?.. Zmarła! Nie. Czyż dusza wiolonczeli umiera w jęku pękniętej struny?

Mijały godziny.

Patrzył przez okno na noc, która tryumfowała na niebie; i noc nabierała życia przed nim; wydawała mu się królową, melancholijnie kroczącą na wygnaniu, i, jak brylantowa agrafa jej tuniki żałobnej, samotna Wenera błyszczała nad drzewami, ginąc wśród lazuruwej głębi.

— To Wiara,—pomyślał.

Przy tem imieniu, wyrzeczonem cicho, drgnął, jak człowiek, który się budzi, potem, wyprostowawszy się, popatrzył wokoło siebie.

Przedmioty w pokoju były oświetlone teraz, przedtem ledwie widocznem światłem lampy, która rzucała siny odblask na ciemności i również wydawała się gwiazdą, dzięki nocy, panującej na horyzoncie. Lampa ta, pachnąca kadzidłem, płonęła przed ołtarzykiem, rodzinną pamiątką Wiary. Składany ze starożytnego, kosztownego drzewa, wisiał tam na taśmach, między szkłem a obrazem. Zewnątrz migotliwy odblask złota padał na kolję i na inne klejnoty, rozłożone na kominku.

Wieniec Madonny w błękitnych sukniach, błyszczał, rozjaśniony krzyżem, cienkie

i czerwone linje którego, gubiąc się stopniowo, odcieniały purpurowym kolorem blask oświetlonych nim pereł. Od dzieciństwa Wiara przywykła, patrząc wielkimi oczyma na czyste macierzyńskie oblicze obrazu, ubóstwiać go, lecz dzięki swej naturze nie mogła poświęcić Madonnie nic, oprócz *przesądnej* miłości; i czasami oznajmiała ją jej naiwnie, w zamyśleniu, przechodząc przed lampką.

Hrabia widokiem tym i męczącymi wspomnieniami, wzruszony do głębi duszy, wyprostował się, szybko zadmuchał święty ogień, i, poomacku, w ciemności, wyciągnął wшы rękę do sznurka, zadzwonił.

Ukazał się służący; był to starzec ubrany w czarną liberję; trzymał lampę, którą postawił przed portretem hrabiny. Kiedy odwrócił się, to z drżeniem przesądnego lęku zobaczył, że pan jego stoi, uśmiechając się, jak by w życiu jego nic nie zaszło.

— Rajmundzie, — spokojnie rzekł hrabia: — *dziś wieczorem jesteśmy srodze znużeni, hrabina i ja; podasz kolację o dziesiątej godzinie.* A propos, postanowiliśmy jeszcze bardziej odsunąć się od świata od dnia jutrzejszego. Ani jeden ze służących, z wyjątkiem ciebie, nie powinien spędzić nocy tej w domu. Wyplacisz im pensję za trzy lata, i niech się wynoszą. Potem zamkniesz wejście na zasuwę; zapalisz światło na dole w jadalni; wystarczą nam twoje usługi. Odtąd nie będziem nikogo przyjmować.

Starzec drżał: i uważnie patrzył na hrabiego.

Hrabia zapalił cygaro i zeszedł do ogrodu.

Służący zrazu pomyślał, że zbyt ciężki, zbyt rozpaczliwy smutek rozstroił zmysły jego pana. Znał hrabiego od lat dziecińczych, od razu zrozumiał, że zbyt szybkie przebudzenie z tych marzeń, mogło by stać się fatalnem dla tego lunatyka. Lecz pierwszym obowiązkiem jego było — strzedz podobną tajemnicę.

Pochylił głowę. Oddane współczucie w tem szlachetnem marzeniu?.. Być posłusznym?.. W dalszym ciągu usługiwać *im obojgu*, nie biorąc w rachubę śmierci? Co za dziwna myśl! Czy potrwa ona jedną noc tylko?.. Jutro, jutro, ach!.. Ach, żeby wiedzieć?.. Być może! W każdym razie święty pomysł! Jakie prawo ma on roztrząsać to?

Wyszedł z pokoju, ściśle wypełnił rozkazy i od tego wieczoru rozpoczęła się niezwykła egzystencja hrabiego.

Trzeba było stworzyć straszny miraż.

Niezręczność pierwszych dni zagładziła się. Rajmund był z początku w jakimś odrętwieniu, potem z pobłażliwością i czułością, tak dobrze udawało mu się być naturalnym, że nie upływały nawet trzy tygodnie, gdy sam uczuł się oszukanym swoją gorliwością. Poboczne myśli zbladły. Czasami, uczuwając coś w rodzaju zawrotu głowy, musiał wmawiać w siebie, że hrabina na-

prawdę umarła. Dał się porwać tej ponurej grze i każdej chwili zapominał o rzeczywistości. Wkrótce potrzebował już coś więcej, niż proste rozmyślanie, ażeby przekonać siebie i wrócić do równowagi. Dobrze widział, że, w ostateczności, w zupełności odda się temu straszemu magnetyzmowi, którym hrabia przepełnił całą atmosferę wokoło nich. Zdejmował go lęk, lecz strach jego był niezdecydowany, cichy.

W rzeczywistości, d' Athol żył w zupełnej nieświadomości o śmierci swej ukochanej! Obraz młodej kobiety był jakby zlany z jego własnym, tak, że ona jakby ciągle była blisko niego. To na ławce ogrodu w dnie słoneczne, czytał jej na głos te wiersze, które ona lubiała; to wieczorem, przy kominku, — (obie filiżanki herbaty na stoliku), rozmawiał z uśmiechającą się Iluzją, siedzącą, w oczach jego na drugim krześle.

Upływały dni, noce, tygodnie. Ani ten, ani drugi nie wiedzieli, co robili. Już dokonywały się te dziwne zjawiska, w których trudno było rozróżnić ten punkt, w którym wymyślone identyczne jest z realnem. Czyjaś obecność czuć było w powietrzu; jakiś obraz starał się ukazać, ujawnić w przeźrzeni, będącej czemś nieokreślonym.

D' Athol żył podwójnem życiem, jak ranatyk.

Delikatna i blada twarzyczka, ukazująca się jak błyskawica między dwoma mignięciami; cichy akord, wzięty naraz na pianinie;

pocałunek, zamykający mu usta w tej właśnie chwili, kiedy zaczynał mówić; pokrewieństwo *niewieścich* myśli, rodzących się w umyśle jego w odpowiedzi na to, co mówił; jego własny sobowtór, który rozróżniał on jakby w gęstej mgle; upajająco - delikatne perfumy ukochanej około siebie, i w nocy, między czuwaniem a snem, ledwie dosłyszalne ciche słowa, wszystko służyło mu jako zwiastun. To było zaprzeczeniem śmierci, wznoszącym się do nieznannej władzy.

Razu pewnego d'Athol poczuł i zobaczył ją tak blisko siebie, że ścisnął ją w swoich objęciach; lecz ten ruch jego rozprószył ją.

— Dziecko! — szepnął z uśmiechem.

I usnął, jak kochanek, na którego gniewa się ukochana jego, śmiejąca się i nawpół senna.

W dzień jej imienin, żartując, dołączył nieśmiertelnik do bukietu, który rzucił na poduszkę Wiary.

— To dlatego, że uważa się za umarłą, — rzekł.

Dzięki głębokiej i potężnej woli d'Athola, który siłą miłości, wykuł sobie życie i obecność swej żony w samotnym domu, taka egzystencja przybrała w ostateczności ponury i przekonywujący czar. Nawet Rajmund nie uczuwał już więcej żadnej bojaźni, oswoiwszy się stopniowo z temi wrażeniami.

Czarna aksamitna suknia, zauważona na skrawku alei; śmiejący się głos, wzywający

go do salonu; dzwonek, roziegający się rano, przy obudzeniu się jego, jak dawniej, — wszystko to stało się dla niego rzeczą zwykłą, jakby zmarła bawiła się w chowanego, zupełnie jak dziecko. Czuła, że ją tak kochają. To było zupełnie *naturalne*.

Upłynął rok.

Wieczorem, w rocznicę, hrabia, siedząc w pokoju Wiary, dopiero co przeczytał *jej* florentyjski poemacik: *Kallimacha*. Zamknął książkę; potem, nalewając sobie herbatę:

— *Duszko*, — rzekł, — czy pamiętasz Dolinę Róż, brzegi Lanu, zamek Czterech Baszt? Nieprawdaż, opowiadanie to przypomniało ci je.

Wstał i w błękitnawem lustrze zobaczył, że jest bledszy, niż zwykle. Wyjął z kubka perłową bransoletę i uważnie spojrzął na perły. Czyż Wiara nie zdjęła *jej* dopiero co z ręki, przed tem, zanim zaczęła się rozbierać? Perełki były jeszcze ciepłe, i blask ich wydawał się jakby złagodzonem ciepłem *jej* ciała. A opal z syberyjskiej kolji, który tak zdobił prześliczną pierś Wiary, że chorobliwie bladł w swej złotej kratce, jeżeli młoda kobieta zapominała go na czas pewien! Niegdyś hrabina lubiła za to swój wierny kamień. Tego wieczoru opal błyszczał tak, jakby go dopiero co zdjęto, i jakby był on jeszcze przepojony cudownym magnetyzmem prześlicznej zmarłej. Kładąc na miejsce naszyjnik i kosztowny kamień, hrabia dotknął niechcący do chustki

batystowej, na której wilgotne krople krwi czerwieniły się, jak gwoźdźniki na śniegu!.. A tam, na pianinie, któż odwrócił ostatnią stronicę melodji? Jakto! święta lampka znów zapłonęła przed ołtarzykiem! Tak, jej złoty płomień tajemniczo oświetlał oblicze Madonny z zamkniętymi oczyma. A te świeżo zerwane kwiaty wschodnie, które rozwijają się tam w starych wazonach saskich, czyja ręka je tam włożyła? Jakoś uroczystej i bardziej poważniej, niż zwykle, pokój wydawał się wesołym i pełnym życia. Lecz nie mogło zdumieć hrabiego! To wszystko wydawało mu się zupełnie naturalnem, i nawet nie zwrócił uwagi na to, że znów szedł zegar, zatrzymany przed rokiem.

I, jednakże, można było powiedzieć, że, tego wieczora, Wiara, z głębi krainy cieni, namiętnie rwała się do powrotu do tego pokoju, pełnego jej! Tak wiele pozostawało w nim z niej samej! Wszystko, co stanowiło jej istotę, ciągnęło ją tam. Tam płynęły jej upojenia; długie wysiłki, zrobione przez namiętną wolę jej małżonka, powinny były osłabić cienkie więzy niewidoczności wokoło niej!..

Była *przymuszona* do tego. Wszystko, co kochała, było tu.

W niej to powinno było zbudzić się pragnienie — przyjść, znów uśmiechać się do siebie w tem tajemniczem lustrze, w którym tylekroć zachwycała się swoim liljowem obliczem. Cicha zmarła drgnęła, prawdopo-

dobnie, tam, pod swemi fiołkami, pod zagaszonymi lampami, boska zmarła zadrżała, prawdopodobnie, w swym lochu, gdzie spoczywała zupełnie sama, patrząc na srebrny klucz, rzucony na płyty. Ona również zachciała przyjść do niego. Lecz wola jej ginęła w idei kadzidla i samotności. Śmierć jest ostatnim wyrokiem dla tych, kto liczy na niebo; lecz śmierć, i niebo, i życie, wszystko to zamykało się dla niej w objęciach miłości! I oto samotny pocałunek jej małżonka pociągał jej usta w mroku. I dźwięczące melodje, upajające słowa przeszłości, tkaniny, okrywające jej ciało, i zachowujące poprzednie wonie, te czarodziejskie kamienie, *pragnące* jej, w swej ponurej sympatji, a najgłówniejsze, głębokie i absolutne uczucie jej obecności, pewność podzielana nawet przez istoty bezduszne, — wszystko wzywało ją tu, ciągnęło ją od tak dawna i tak niedostrzeżalnie, że brakowało tylko *jej samej*, wyleczonej nareszcie od sennej śmierci.

Ach, idee — to żywe istoty!.. Hrabia wykuł w powietrzu kształty swej miłości, i było koniecznem, żeby ta pustka zapełniła się jedyną istotą, która była z nim jednorodną, inaczej runął by świat. Wynikło w tej chwili wrażenie, decydujące, proste, absolutne, że *ona powinna była okazać się tu, w pokoju!* Co do tego hrabia był również spokojnie pewien, jak i co do swej własnej egzystencji, i przedmioty wokół niego były przesycone tem przekonaniem.

Była widoczna w nich! I że zaś brakowało tylko samej Wiary, wyczuwalnej, zewnętrznej, to było konieczne, żeby ona znajdowała się tu, i żeby wielkie widzenie senne życia i śmierci otworzyło na mgnienie swe bezgraniczne drzwi! Droga wskrzeszenia była posłana jej przez wiarę! Świeży wybuch dźwięcznego śmiechu oświetlił radością swoje łożę ślubne; hrabia odwrócił się. I tam, przed oczyma jego, stworzona przez wole i wspomnienia, przezroczysta, oparta o koronkową poduszkę, podtrzymując ręką swe ciężkie, czarne sploty, z ustami zachwycająco rozwartemi do uśmiechu, kryjącego w sobie raj cały lubieżności, prześliczna do tego stopnia, że można było umrzeć, słowem— sama hrabina Wiara. Patrzała na niego, jeszcze nie zupełnie przebudzona.

— Rogerze!.. przemówiła cichym głosem.

Podszedł do niej. Usta ich złączyły się w rokosznem, boskiem, wszystko zapominającym, nieśmiertelnem upojeniu.

I wtedy zauważyli, że w rzeczywistości tworzą tylko jedną istotę.

Godziny, swym lotem, ledwie dotykały się tej ekstazy, w której po raz pierwszy łączyły się i ziemia i niebo.

Naraz hrabia d' Athol drgnął, jakby dumiony jakimś fatalnem wspomnieniem.

— Ach, teraz pamiętam!.. — rzekł, — o. ze mną się dzieje?.. Przecież ty umarła!..

W tejże chwili, przy tem słowie, tajemnicza lampka przed ołtarzykiem zgasła.

Blady świt poranku, — świt powszedniego, szarawego i dżdżystego dnia, — przedostał się do pokoju przez szczeliny firanek. Świece poblady i zgasły, kopcąc swemi czerwonymi knotami; ogień znikł pod warstwą ciepłego popiołu; kwiaty zwiędły i uschły w kilka chwil; wahadło zegara stopniowo zatrzymało się znów. Ożywienie wszystkich przedmiotów niespodziewanie uleciało. Martwy opał nie błyszczał więcej; krople krwi na batyście koło niego również poblady; i ginąc z beznadziejnych rąk, próżno poszukujących nowych uścisków, namiętne białe widziadło wróciło w przestrzeń i zginęło w niej. Słabe, pożegnalne westchnienie, wyraźne i oddalone, dobiegło do duszy Rogera. Hrabia wstał; dopiero co zauważył, że jest sam. Marzenia jego rozwiały się odrazu; zerwał nici swej promiennej tkaniny jednym jedynym słowem. Wokoło teraz była ta atmosfera, jak w domu, w którym jest umarty.

— O, — szepnął, — znaczy się wszystko skończone! — Zginęła!.. I jestem zupełnie sam!.. Jaką drogą mogę teraz dojść do ciebie?.. Wskaż mi tą drogę, która doprowadzi mnie do ciebie!..

Naraz, jakby w odpowiedzi, z ślubnego łoża na czarną skórę upadł z metalicznym stukiem błyszczący przedmiot, promień straszego światła ziemskiego rozjaśnił go!.. Opuszczony nachylił się, schwycił go, i przepiękny uśmiech rozjaśnił twarz jego kiedy poznał ten przedmiot: był to klucz od mauzoleum.

Pragnienie być człowiekiem

Biła północ na Gieldzie, pod niebem, usianem gwiazdami. W tych czasach nad obywatelami ciążyły jeszcze warunki stanu wojennego, i zgodnie z przepisami o gaszeniu ognia, garsoni, jeszcze oświetlonych zakładów, spieszyli się zamykać je.

Na bulwarach, wewnątrz kawiarni, gazowe płomienie żyrandoli, bardzo szybko, jeden za drugim ulatały w ciemność. Zewnątrz słyszano stuk krzesel, układanych po cztery na stołach marmurowych; był to ten psychologiczny moment, kiedy każdy sprzedawca lemoniady uważa za właściwe wskazać ręką zakończoną serwetką, na szczelinę Kaudyńską niskich drzwi, ostatnim gościom.

Tej niedzieli świstał smutny wiatr październikowy. Rzadkie liście, poźółkle, zapyłone i szeleszczące, unosiły się w podmuchach wichury, uderzając o kamienie, włócząc się po asfalcie, potem, na podobieństwo nietoperzy, ginęły w ciemności, wspominając w ten sposób

o powszednich dniach, przeżytych nazawsze. Teatry na bulwarze Sewastopolskim, w których w przeciągu wieczoru zakłuwali jeden drugiego na zmianę wszyscy Medici, wszyscy Salviat, i wszyscy Montefieltry, podnosiły się przybytkami Milczenia nieme drzwi, których strzegły karjatydy. Pojazdy i przechodnie co chwila stawali się rzadszymi; tu tam świeciły sceptycznie latarki gałgania-ry, fosforyczne światełka, wydawane przez kupy nieczystości, nad którymi oni krążyli.

Na wysokości ulicy Auteuil, pod latarnią, na rogu kawiarni, o dość wspaniałym wyglądzie zatrzymał się wysoki przechodzień, z twarzą ponurą, podbródkiem ogolonym, chodem somnambulisty, z długimi siwiejącymi włosami pod filcowym kapeluszem, fasonu Ludwika XII, czarnymi rękawiczkami, oparty na trzcinie z rączką ze słońskiej kości, zawinięty w stary płaszcz, koloru bleu du roi, obszyty barankiem wątpliwej wartości; wydawało się, że przechodzień machinalnie waha się, czy przejść przez ulicę, oddzielającą go od bulwaru Bon-Nouvelle.

Czy powracał ten zapóźniony przechodzień do siebie, do domu? Czy tylko wypadkowy spacer nocny przyprowadził go na ten róg ulicy? Trudno by to było wyjaśnić z zewnętrznego wyglądu jego. Jakby to tam nie było, lecz zauważywszy naraz na prawo od siebie jedno z tych luster, wązkich i długich, jak jego figura — w rodzaju tych luster do ogólnego użytku, jakie wprawiają

niekiedy w witrynach wspaniałych kawiarni— zatrzymał się odrazu, spojrział wprost na swoje odbicie, i zaczął bacznie przyglądać się sobie od stóp do głów. Potem naraz uniósł swój kapelusz, z gestem, który wskazywał dawniejszą jego przeszłość, ukłonił się sam sobie nie bez pewnego szacunku.

Kiedy tak niespodziewanie obnażył głowę, można było poznać w nim znakomitego tragika, Asperi Cheauvala, urodzonego Lepainter, nazywanego Monanteuil, pochodzącego z bardzo zacnej rodziny maltańskich pilotów i dzięki wypadkom losu, stającego się aktorem na pierwsze role na prowincji, występującym gościnnie za granicą, i współzawodnikiem (często szczęśliwym) Fryderyka Lemaitré'a.

Podczas gdy on przyglądał się sobie, prawie że odretwiąły w lustrze, kelnerzy pobliskiej kawiarni podawali palta i kapelusze ostatnim ze swoich stałych gości; inni z hałasem wyrzucali zawartość niklowych skarbonek i wykładali na tacę w krążek miedziany dzienny swój zarobek. Ten pośpiech, to rozłargnienie, spowodowane były groźną obecnością dwóch niespodziewanych sierżantów, którzy, zatrzymawszy się na progu ze skrzyżowanymi rękoma, przeszukiwali swem zimnem spojrzeniem zapóźnionego gospodarza.

Wkrótce żaluzje w swych ramach żelaznych zamknięte zostały na śrubę, z wyjątkiem tylko lustrzanej okiennicy, która

przez dziwne niedbalstwo, została zapomniana wśród ogólnego pośpiechu.

Potem bulwar umilkł zupełnie. Cheauval, sam, nie zauważywszy, jak opustoszało wszystko, stał w dalszym ciągu w swej pełnej zdumienia pozie na rogu ulicy Ateuil, na trotuarze, przed zapomnianem lustrem.

To błękitnawe, księżycowe lustro, zdaje się dawało artyście to wrażenie, jakie on uczuwał by, kąpiąc się w jeziorze; Cheauval drżał.

Ach! powiemy poprostu w okrutnem i ponurem szkłe aktor zobaczył, że się starzeje.

Zauważył, że włosy jego wczoraj jeszcze mające kolor pieprzu z solą, zbliżyły się do cienia światła księżycowego, wszystko było skończone! Żegnajcie, wywoływania i wianki, żegnajcie róże Thalji i laury Melpomeny! Trzeba było nazawsze pożegnać się z uściskami rąk, i ze łzami, ze wszystkimi Helleniuszami i Laruettami, z przepysznyemi liberjami i z wspaniałemi zwrotami retoryki, z Dugasonem i z ingénués.

Trzeba było spiesznie zejść z wozu Thespisowego i patrzeć, jak oddala się on, uwołając kolegów. Widzieć potem, jak szminka i galony, rano jeszcze rozwieszające się na słońcu aż do samych kół — igrzyska wiatru radosnego Nadziei — widzieć, jak giną one za dalekim zakrętem drogi, w mroku.

Cheauval, który naraz poczuł swe pięćdziesiąt lat (był on człowiekiem szczerym),

westchnął. Jakiś obłok przeszedł przed jego oczyma; coś w rodzaju zimnej febry opanowało go i halucynacja rozszerzyła jego źrenice.

Ponura uwaga, z jaką on przeniknął się starał zesłane przez los lustro, nadała pod koniec źrenicom jego tą zdolność powiększania przedmiotów i napełniania ich uroczystością, którą fizjologowie zauważyli u osób dotkniętych silnem wzburzeniem.

I oto długie zwierciadło przeobraziło się pod jego wzrokiem, obciążonym mętными i bezdźwięcznymi myślami. Wspomnienia dzieciństwa, wybrzeży i srebrzystych fal zatańczyły w mózgu jego. I lustro to, bezwątple, dzięki gwiazdom, które pogłębiały jego powierzchnię, z początku sprawiło na nim wrażenie wody, śpiącej w zatoce. Potem, rozrastając się jeszcze, pod wpływem westchnień starca, lustro przybrało wygląd morza i nocy, tych dwóch starych przyjaciół serc samotnych.

Cheauval otrząsnął z siebie ten zawrót głowy i wyprostował całą swą wyniosłą postać, wybuchając nerwowym, fałszywym i gorzkim śmiechem, przy dźwiękach którego aż drgnęli obydwa stojący pod drzewami sierżanci. Na szczęście dla artysty, przypuścili, że to jakkolwiek bądź zwykły pijanica, lub rozczarowany kochanek, i w dalszym ciągu odbywali swój urzędowy spacer, nie nadając specjalnego znaczenia nieszcześliwemu Cheauwalowi.

— Cóż, wyrzekniemy się! — rzekł po prostu i cichym głosem, na podobieństwo skazanego na śmierć, rozbudzonego niespodziewanie, który mówi do kata:

— Jestem do usług pańskich, mój przyjacielu.

I tu stary komedjant, w jakimś głuchem przygnębieniu puścił się na następujący monolog:

— Zrobiłem przezornie, — ciągnął, — poleciwszy niedawno wieczorem mademoiselle Pinson, mojej dobrej przyjaciółce (której minister chętnie podstawia ucho swoje, a zresztą, i swoją poduszkę), poprosić dla mnie, między dwoma namiętami wyznania, to miejsce stróża przy latarni morskiej, które zajmowali ojcowie moi na brzegu oceanu. Tak więc co! teraz rozumiem to dziwne wrażenie, które sprawiła na mnie ta latarnia w lustrze!.. To było mojem marzeniem. — Pinson przyśle mi moją nominację, to nie ulega wątpliwości. I oto, schowam się w swej latarni, jak szczur w serze. Zacznę oświetlać okręty na morzu, zdaleka. Latarnia morska! — w niej zawsze jest coś dekoracyjnego. Ja — sam na świecie: takie schronienie w zupełności odpowiada mym starym latom.

Naraz Cheauval przerwał swe rozmyślenia.

— Ach tak, — przemówił, namacawszy coś na piersi pod płaszczem, — to przecież... list, wręczony mi przez listonosza.

kiedym wychodził z domu, to, prawdopodobnie jest i odpowiedź? Jaktol! wszak chciałem przeczytać go, po wejściu do kawiarni, i zapomniałem o nim! Naprawdę, zaczynam się opuszczać! — No, oto jest i on!..

Cheauval wyciągnął z kieszeni szeroką kopertę, z kąd, ledwie tylko otwartą została, wyslizgnął się papier ministerjalny, który gorączkowo podniósł i przebiegł jednym spojrzeniem, przy czerwonym świetle latarni.

— Moja latarnia morska! moja nominacja! — wykrzyknął — O, Boże mój! jestem uratowany! — dodał, jakby starem, machinalnem przyzwyczajeniem i tak ostrym fałsetem, tak odróżniającym się od własnego jego głosu, że obejrzał się wokół siebie, pomysławszy, że jest tu ktoś trzeci.

— No, uspokójmy się i... *bądźmy człowiekiem*, — ciągnął wkrótce.

Lecz przy tem słowie Asperi Cheauval, urodzony Lepentier, nazywany Monanteuil, zatrzymał się, jakby zamieniony w słup soli; zdawało się, że słowo to zrobiło go nieruchomym.

— Co?.. — ciągnął on po chwilowem milczeniu. — Com ja tu życzył sobie? Być Człowiekiem?.. Zresztą, dlaczego by nie?..

Skrzyżował ręce, rozmyślając.

— Oto już wkrótce upłynie pół wieku, jak oddaję, jak *odgrywam* namiętności innych, nigdy nie uczuwając ich sam, — gdyż, w rzeczywistości, nigdy niczego nie uczuwa-

łem. Znaczy się, podobny bywam do tych innych, tylko dla zabawy. Znaczy się — jestem tylko cieniem? Namiętności, uczucia, realne czyny! realne, oto co stanowi człowieka, w prawdziwym znaczeniu tego słowa! A więc, raz już wiek zmusza mnie do powrotu do ludzkości, muszę zdobyć sobie najmiętność, lub jakiebądź inne *realne* uczucie. — gdyż to warunek sine qua non, bez którego nie można liczyć na tytuł Człowieka. Oto co się nazywa mocno rozmyślać; wprost pęko się ze zdrowego rozsądku! A więc, wybierzemy sobie, dla przeżycia tą z namiętności — która najwięcej będzie odpowiednia naszej naturze, nareszcie zmartwychwstałej.

Pomyślał, potem melancholijnie ciągnął dalej:

— Miłość?.. zbyt późno. — Sława?.. znam ją!.. Ambicja? pozostawmy to działaczom państwowym.

Naraz wykrzyknął:

— Znalazłem! — Wyrzuty sumienia!.. oto co jest odpowiednie dla mego temperamentu dramatycznego.

Popatrzał w lustro, robiąc wzruszoną twarz, jakby wykrzywioną nadludzkim przerażeniem.

— Tak, tak, — zakonkludował, — Nerón, Orestes, Hamlet, Herostrat! Widma. Ja również, ze swojej strony, chcę *prawdziwych* widm, jak wszyscy ci ludzie, którzy mają szczęście nie stąpić ani kroku bez widm.

Uderzył się w czoło.

— Lecz *jak?*.. Niewinny jestem, jak
jagnię, wahające się pokazać na świat Boży!
I znów po jakimś czasie:

— Lecz o to rzecz nie stanie!.. — cią-
gnął dalej, — pragnący osiągnąć cel, pragną
również i środka po temu!.. Mamżeż ja pra-
wa osiągnąć, żeby tam nie wiem co, to, czem
powiniennem być. Mam prawo na Ludzkość!..
ażeby uczuwać wyrzuty sumienia, trzeba po-
pełnić przestępstwo? No, dobrze, zgadzam
się na przestępstwo, cóż więc takiego, raz
robią się one... z dobrych pobudek? — Tak...
Niech tam!.. (I przystąpił do djałogu): Speł-
nię straszne przestępstwo. — Kiedy? Zaraz.
Nie trzeba odkładać na jutro! Jakież? Je-
dno jedyne! Lecz wielkie! lecz niezwykle
swojem okrucieństwem, lecz takie, które zmu-
si wszystkie furje do wyjścia z piekła! —
A jakie? Niech djabli wezmą, najjaskraw-
sze... Brawo!.. Znalazłem! Podpalenie! Za-
tem pozostało mi tylko tyle czasu, ażeby
podpalić! Zapakować swe kufry! wrócić,
ukrywszy się jak należy, za szkłem jakiego
bądź fiakra, upoić się swoim tryumfem
wśród przerażonego tłumu! Dobrze zapamię-
tać przekleństwa umierających, — i dążyć
na północno-zachodni dworzec z zapasem
wyrzutów sumienia na całą resztę dni moich.
Potem ukryję się w swojej latarni! W świat!
pośród Oceanu! gdzie, w ten sposób, policja
nigdy mnie nie znajdzie, gdyż zbrodnia mo-
ja nie przyniesie mi żadnej korzyści. I tam

będę męczyć się sam (tu Cheauval wyprostował się, improwizując wiersz zupełnie w duchu Kornela):

Za męki sumienia,

Grzech będzie mi poręką!..

— Zdecydowane. A teraz, — zakończył wielki artysta, obejrzawszy się wokoło, ażeby przekonać się, że jest sam, i podnosząc z ziemi kamień, — a teraz nie będziesz już więcej odbijać nikogo!

I rzucił kamieniem w lustro, które rozbilo się na tysiące błyszczących okruszyn.

Spełniwszy ten pierwszy obowiązek i uciekając szybko, — jakby zadowolony z tego pierwszego, lecz energicznego czynu, — Cheauval skierował się na bulwary, gdzie po kilku minutach, na jego znak, zatrzymał się fiaker, wskoczył do niego i znikł.

W dwie godziny potem, płomień olbrzymiego pożaru, buchający z wielkich składów naftowych, olejnych i zapalek, odbijał się we wszystkich szklach przedmieścia Temple. Wkrótce oddziały straży ogniowej, podtaczając, podciągając swe narzędzia, ruszyły się ze wszystkich stron, i trąby ich, rozsyłając złowieszcze krzyki, odrazu budziły mieszkańców tej zaludnionej dzielnicy. Niezliczone, śpieszne kroki rozlegały się na chodnikach: tłum wypełniał sobą wielki plac Chateau d'Eu i przyległe ulice. Śpiesznie tworzone łańcuch. Mniej niż przez kwadrans oddział żołnierzy utworzył kordon wokoło pożaru. Policjanci, przy krwawem świetle

pochodni, powstrzymywali w sąsiedztwie napór mas ludzkich.

Powozy, ujęte do niewoli, więcej się nie poruszały. Słysząc krzyki i lament. Rozlegały się oddalone krzyki wśród straszego trzasku ognia. Ofiary, ogarnięte tym piekłem ryczały, i dachy domów waliły się na nie. Około setki rodzin tych robotników z warsztatów, które płonęły, pozostały bez środków do życia i bez dachu. Samotny fiaker, naładowany dwoma wielkimi kuframi, stał za tłumem zatrzymany przy Chateaud'Eu. I w tym fiakrze siedział Gaspar Cheauval, urodzony Lepentier, nazywany Monanteuil; od czasu do czasu rozsuwał firanki i zachwycał się dziełem swoim.

— O, — cicho mówił sobie, — czuję, jaki strach wpajam i Bogu i ludziom. Tak, oto ona — pieczęć przekleństwa!..

Twarz dobrego, starego komandanta błyszczała.

— Och, ja nieszczęsny! — mruczał, — jakie mściwe noce bezsenne przeżyję pośród widm swych ofiar. Czuję, jak we mnie podnosi się dusza Neronów, palących Rzym w szale artysty! Rastopczynów, podpalających Moskwę z patryjotyzmu! Aleksandrów, spalających Persepolis, z miłości do nieśmiertelnej Taisy! Ja zaś podpalam z obowiązku, gdyż nie mam innego środka egzystencji! Podpalam dlatego, że zadłużyłem się samemu sobie!.. Wypłacam się. Jakim człowiekiem stanę się! Jak będę żył! Tak, nareszcie dowiem się!

co uczuwasz, kiedy cię gnębią. — Jakie noce, wspaniałe swym strachem, będę zachwycająco spędzać!.. Ach, ja oddycham, ja odradzam się!.. ja istnieję! I pomyśleć tylko, że byłem komedjantem!.. A teraz, kiedy w bezmyślnych oczach prostych ludzi okazuję się tylko szubienicznikiem, uciekam z szybkością błyskawicy. Idziemy ukryć się w naszej latarni, ażeby tam spokojnie rozkoszować się swemi wyrzutami sumienia.

W dwa dni potem, wieczorem, Cheauval, przybyły bez przeszkód na miejsce swej nominacji, objął w posiadanie zrujnowaną latarnię, położoną na wybrzeżu północnym: był to na wpół rozwalony budynek, z światła którego już dawno nikt nie korzystał, i który tylko dzięki łasce ministra był znów powołany do życia li tylko dla Cheauvala.

Alboż sygnały tej latarni mogły przynosić jakąkolwiek korzyść: była to, tak powiedzieć, superfetacja, rodzaj synekury, mieszkania z bezpłatnem światłem nad głową, coś, bez czego mogliby się obejść wszyscy, oprócz jednego Cheauvala.

Zatem, znakomity tragik, przeniósłszy tu swą pościel, zapas artykułów spożywczych i wielkie lustro, ażeby w niem badać wyraz swego oblicza, zamknął się tam natychmiast, ukrywając się przed wszelkim wzrokiem ludzkim.

Wokoło niego płakało morze, w którym stary niebieski horyzont kąpał swe blaski gwiazd. Patrzył, jak fale oblegały jego basz-

CZYTELNIA ZJEDNOCZONA

SPÓŁKA Z OGR. ODP.

Warszawa, Marszałkowska 95

TELEFON

ę przy nagłych zmianach wiatru, na podobieństwo wschodniego słupnika, który mógł zachwycać się piaskami, pędzonymi ku jego słupowi nagłymi podmuchami wiatru pustyni.

W oddali śledził on bezmyślnym wzrokiem dymki parostatków, lub też żagle łodzi rybackich.

Z każdą minutą ten marzyciel zapomniał o swoim pożarze. Wchodził i schodził po schodach kamiennych.

A więc, powtarzamy, wieczorem, na trzeci dzień, Lepentier, siedząc w pokoju swoim na sześćdziesiąt stóp nad wodą, odczytywał *N* gazety paryskiej, gdzie opisywano nieszczęśliwy wypadek, który się zdarzył przed trzema dniami.

„Nieznany złoczyńca podrzucił kilka zapalek do składów nafty. Potworny pożar, który postawił na nogi na całą noc strażaków i całą ludność otaczających dzielnic, wybuchnął na przedmieściu Temple.

Liczą około setki ofiar: rodziny nieszczęśliwych pogrążone są w najstraszniejszą nędzę.

Cały plac był w żałobie i jeszcze dymił się.

Pozostało nieznanem nazwisko przestępcy, a, najgłośniejsze, co pobudziło go do takiej zbrodni.“

Przeczytawszy to, Cheauval zawołał, gorączkowo zacierając ręce:

— Jakie powołenie! Jakież ze mnie wspaniałe złoczyńca! Czy wystarczająca licza-

ba widm odwiedzi mnie. Ach, wiele widm ja zobaczę! Znakomicie, wiedziałem, że zostanę Człowiekiem. — Środek był okrutny, zgadzam się! Lecz tak było potrzeba!.. tak było potrzeba!..

Odczytując gazetę paryską, Cheauval przy wspomnieniu, że danem będzie nadzwyczajne przedstawienie na korzyść pogorzalców, szepnął:

— Więc tak! należało by mi zaproponować współdziałanie mego talentu na korzyść moich ofiar!.. Mogło by to być moim pożytecznym przedstawieniem! Oddeklamował. bym Orestesa. Byłbym bardzo naturalny..

Potem Cheauval zaczął pędzić życie w swej latarni.

I mijaly wieczory, zmieniając się kolejno z nocami...

Działo się coś, zdumiewającego artystę. Coś strasznego. Wbrew jego nadziejom i przypuszczeniom, sumienie jego nie robiło mu żadnych wyrzutów. Nie pokazywało mu się ani jedno widmo! Nie uczuwał nic, no, stanowczo nic.

Nie mógł uwierzyć temu milczeniu. Nie mógł przyjść do siebie.

Czasami, patrząc w lustro, zauważał, że jego dobroduszna twarz zupełnie się nie zmienia. Tedy z wściekłością rzucał się do sygnałów, które psuł w promiennej nadziei, że zmusi do zguby gdzieś w oddali jakiś okręt, ażeby przyspieszyć, podnieść uporczy-

we wyrzuty sumienia, ażeby im współdziałać!.. ażeby wywołać widma!

Próżna praca!..

Bezowocne zamachy! Bezżyteczne wysiłki! On *nic* nie uczuwał. Nie widział przed sobą ani jednego grożącego widma. Nie spał już więcej, do tego stopnia dławiała go rozpacz i *wstyd*.

Nareszcie, pewnego razu w nocy, rażony w swej zalanej światłem samotni nagłym przyływem krwi do mózgu, znalazł swoją śmierć, i w agonii, przy szumie oceanu, przy wyciu potężnego wiatru, uderzającego w jego basztę, zgubioną w nieskończoności, krzyczał:

— Widm!.. Na miłość Boską! Niech ja zobaczę choć jedno widmo!.. *Zasłużyłem na nie!*

Lecz Bóg, którego wzywał, nie okazał mu tej łaski, — i stary pajac umarł, deklamując w dalszym ciągu z robioną namiętnością o swem pragnieniu widzenia widm!.. *i nie zrozumiał, że sam był tem, czego pragn*

Przygoda Tse-I-La.

Na północ od Tonkinu, daleko w głąb państwa, przed centralnemi częściami państwa środka, ściśle się przybrana w złoto pół ryżowych prowincja Kiang-Si, ze swemi miastami z wygiętymi dachami; w niektórych z nich przechowują się jeszcze nawpół tatarskie obyczaje.

W tej dzielnicy czysta nauka Lao-Tse nie zgasiła jeszcze mocnej wiary w Pussa, w naturalnych genjuszów narodowych Chin. Wskutek fanatyzmu tamtejszych bonzów, przesady chińskie trzymają się tam nawet i u znakomitych, bardziej mocno, niż w mniej oddalonych od Pei-Tsin (Pekinu) prowincjach.

Wierzenia te odróżniają się od mandżurskich tem, że dopuszczają bezpośrednio mieszanie się „bogów“ w sprawy ziemskie.

Przedostatnim wice-królem tej olbrzymiej prowincji cesarstwa, był mędrca Tere-Tang, który pozostawił po sobie pamięć despoty przenikliwego, okrutnego. Otóż przy pomocy jakiejś tajemnicy udało się temu kro-

likowi, uniknąwszy tysiąca wypadków zemsty, zemrzeć w spokoju pośród nienawiści swego narodu, kipiącego wściekłością, łaknącego krwi jego, a którym on aż do końca nieustraszenie pogardzał.

Działo się to na kilka dziesiątków lat przed jego śmiercią.

Był strasznie gorący dzień letni, kiedy z upału świeciły się błota, liście na drzewach trzaskały, a pył stawał się błyszczącym. Deszcz padał zupełnie jakby rozpalonemi kroplami na mirjady obszernych i wysokich na trzy piętra kiosków, które tłocząc się wzdłuż zakrętów ulic, stanowiły stolicę Nang-Czang.

Tere-Tang siedział w jednej z najchętniej odwiedzanych sal swego pałacu, na czarnym tronie, inkrustowanym kwiatami z masy perłowej z złotymi zakrętami. Berło leżało na kolanach; podbródek wspierał się na rękach.

Z tyłu, poza jego tronem wznosiła się kolosalna statua Fo, potężnego boga. Na stopniach stali strażnicy w zbrojach łuszczyce z czarnej skóry, z kopją, łukiem lub długim toporem w ręku. Po prawej ręce stał ulubieniec jego — kat, i wachlował go wachlarzem z piór.

Spojrzenia Tere-Tanga błędziły po tłumie mandarynów, książąt krwi i główniejszych dostojników jego dworu. Twarze wszystkich były jakby ukryte pod nieprzeniknącą ma-

ską. Król czuł, że nienawidzą go, że wokoło niego są — straszni zabójcy. I, opanowany złości podejrzeniami, wpatrywał się to w tą, to w inną grupę, cicho szepczącą. Nie wiedząc, kogo zniweczyć, każdej chwili dziwiąc się, że sam jeszcze pozostaje przy życiu, myślał, i w tem jego milczeniu była groźba.

— Ciężka tkanina uniosła się i przepuściła oficera. Oficer wprowadził po macie nieznanego młodzieńca z wielkimi jasnymi oczyma i pięknem obliczem.

Przybrany był on w jedwabną suknię z srebrnolitym pasem. Padł na twarz przed Tere-Tangiem. Król podniósł pytająco oczy.

— Synu nieba, — wyrzekł oficer: młodzieniec ten oznajmił, że jest tylko prostym mieszczaninem, i nazywa się Tse-I-La. Jednakże, nie uląkłszy się powolnej śmierci, przyznał się, że posłany został do ciebie przez nieśmiertelnego Pussa.

— Mów, — rozkazał Tere-Tang, i Tse-I-La podniósł się z ziemi.

— Panie, — rzekł spokojnym głosem: wiem, co mnie czeka, jeżeli źle dotrzymam swe słowo. Dziś w nocy miałem straszny sen. Pussa zaszczycił mnie ukazaniem się swoim i oznajmił mi tajemnicę, przy której rozum ludzki zamiera. Jeżeli zaszczycisz mnie wysłuchaniem, to przyznasz, że tajemnica ta nie jest ludzkiego pochodzenia, gdyż słucha-

jąc ją, poczujesz, jak budzi się w istocie twojej jakieś nieznanne uczucie. Da ci ona zaraz tajemniczą, możliwość czytania z zamkniętymi oczyma w przestrzeni, która oddziela źrenice od powiek,—nakreślone krwią nazwiska tych wszystkich, którzy zamyślają coś przeciwko tronowi i życiu twemu, w tej chwili, gdy w duszach ich narodzi się taki zamysł. Ty w ten sposób będziesz obroniony przed wszelkimi ponuremi niespodziankami i spokojnie zestarzejesz się. Ja, Tse-I-La, przysięgam tu na boga Fo, wizerunek którego rzuca na nas cień swój, że czarowna siła tej tajemnicy właśnie jest taką, jak ci mówię...

Przy tych oszołomiających słowach drzenie przebiegło po obecnych, i zrobiło się zupełnie cicho. Zwykła obojętność twarzy zmieniła się podnieceniem strasznej męki. Wszyscy badawczo patrzyli na nieznanego młodzieńca, który tak nieustraszenie podawał się za zwiastuna i posiadacza boskich sił czarodziejskich. Niektórzy napróżno starali się przywołać uśmiech, lecz nie śmieli podnieść oczu i wbrew swej woli bledli z powodu pewności Tse-I-La. Tere-Tang uważał na to zmieszanie wokoło.

Nareszcie, jeden z książąt, prawdopodobnie, ażeby ukryć swe wzburzenie, zawołał:

— Jakiż nam interes do mowy szaleńca, pijanego od opjum.

To dodało odwagi mandarynom.

— Pussa daje natchnienie tylko bonzom na pustyni.

A jeden z ministrów rzekł:

— Nam przedewszystkiem należy rozpatrzeć i zdecydować, czy godną będzie ta tajemnica, którą rzekomo posiada ten młodzieniec, tego, ażeby być podaną wysokiej mądrości króla.

Rozdrażnieni dygnitarze mówili:

— A on sam... Być może i on—jest tylko jednym z tych, co czekają z kindzalem w ręku, ażeby razić pana w tej chwili, kiedy roztargnienie...

— Zatrzymać go!..

Tere-Tang dotknął Tse-I-La berłem z ne-frytu, na którym błyszczwały święte znaki.

— Mów dalej,—rzekł on obojętnie.

Wtedy Tse-I-La zaczął znów mówić, koniuszczkami palców kołysząc około policzków malutki wachlarzyk z czarnego drzewa.

— Jeżeliby jakiegokolwiek bądź tortury mogły zmusić Tse-I-La do zdradzenia jego wielkiej tajemnicy i zakomunikowania jej komu bądź, oprócz samego króla, — przysięgam — Pussa, który słyszy nas, nie wybrałby mnie, ażebym powtórzył tę tajemnicę... O, nie księżęta, nie paliłem opjum, i nie mam oblicza szaleńca, i nie mam przy sobie żadnej broni. Oto tylko co jeszcze wam powiem. Jeżeli gotów jestem poddać się powolnej śmierci, to znaczy się, tajemnica taka, — raz jest prawdziwą, zasługuje i na równoznaczną nagrodę. Ty sam królu, zdecydujesz sprawiedliwością

swoją, czy zasługuje ona na tą nagrodę, jaką cię proszę. Jeżeli naraz od dźwięku słów, podających ci tą tajemnicę, poczujesz pod swemi opuszczonemi powiekami jej dobroczynną siłę i jej cuda,—przyznasz, że bogowie w oddechu swych błyskawic, komunikujących ją mnie, zrobili mnie szlachetnym, i ty dasz mi swoją promienną córkę Li-Tien-Se, odznakę godności mandaryna i pięćdziesiąt tysięcy złotych liangów.

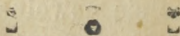
Przy słowach „złoty liangów“ nieznamy poróżwiały policzki Tse-I-La, i przy krył on je pokuszeniem wachlarza.

Niezmiernie pyszna nagroda, której żądał młodzieniec, zmusiła do uśmiechu dworzan i zapaliła gniewem ciemne serce króla, wzbudzając w nim dumę i chciwość. Okrutny uśmiech wił się jak wąż na wargach jego. A młodzieniec nieustraszenie dodał:

— Czekam od ciebie panie, królewskiego słowa, przysięgi Fo, bogom nieuchwytnym, grożącym pomstą krzywoprzysięzcom, że zgodzisz się dać mi tą nagrodę lub też naznaczysz jaką ci się podoba karę śmierci, zważając na to, czy wyda ci się tajemnica moja rzeczywistą, czy też chimera.

Tere-Tang wstał.

— Przysięgam,—rzekł: chodź za mną.



w kilka chwil potem, pod sklepieniem oświetlonem lampami nad jego przepiękną

głową, Tse-I-La przykrępowany cienkimi sznurami do słupa, milcząco patrzył na króla Tere-Tanga, wysoka postać którego zarysowywała się w półmgle, o trzy kroki od niego. Król stał, oparty o żelazne drzwi w podziemiu; prawa ręka jego leżała na głowie metalowego drakona, występującego ze ściany i zupełnie jakby przyglądającego się jedynym swym okiem Tse-I-La. Od zielonej odzieży Tere-Tanga padały odbłyski, błyszcząły drogocenne kamienie naszyjnika, i tylko głowa wzniesiona wyżej od czarnej zasłony lampy, była w zupełnej ciemności.

Byli w podziemiu. Nikt nie mógł ich słyszeć.

— Słucham, — rzekł Tere-Tang.

— Panie, — rzekł Tse-I-La: jestem uczniem cudownego poety La-Tlin-Pe. Bogowie dali mi talent, jak tobie dali potęgę. Dodali mistrzostwo, ażeby pogłębić me myśli. I ja codziennie dziękowałem im za tak hojne ich dary i żyłem cicho, bez pragnień. Tak było do czasu tego, dopóki razu pewnego nie zobaczyłem na wysokim tarasie zamku twego, nad ogrodami, w posrebrzanym blaskiem księżycy powietrzu, córki twej, Li-Tien-Se. Barwne kwiaty wysokich drzew schylały się pod tchnieniem wiatru nocy ku jej stopom. I od czasu tego pędzelek mój nie pisał liter, i ja czuję, że i córka twoja marzy o tych ogniach, które zapaliła we mnie. Wyczerpany tęsknotą, przekładając najstraszniejszą śmierć nad mękę życia bez niej, zapragnęłem czy-

nem bohatera, natchnieniem prawie że bo-
skiem, podnieść siebie, przechodnia do niej,
do córki króla.

Tere-Tang niecierpliwym ruchem naci-
snął wielkim palcem oko drakona. Drzwi
przed Tse-I-La bez szmeru rozwarły się i otwo-
rzyło oczom jego wewnątrz sąsiedniego pod-
ziemia.

Przy ogniu, w którym rozpałały się na-
rządza tortur, stało trzech ludzi w skórza-
nych odzieżach. Z pułapu spadał gruby sznur
jedwabny, który rozdzielał się na cienkie koń-
ce, a pod nim błyszcząca niewielka klatka
stalowa, okrągła, z okrągłym otworem.

To, co zobaczył Tse-I-La, było narzędziem
strasznej śmierci. Pokryte strasznymi oparze-
niami ciało ofiary, zawieszało się za rękę na
tym sznurze jedwabnym, wielki palec dru-
giej ręki, zagięty w tył, przywiązywał się do
wielkiego palca nogi, potem na głowę kła-
dziono klatkę stalową, do której wsadzone
były dwa wielkie głodne szczury. Kat, roz-
bujawszy oskarżonego odchodził, i pozosta-
wiał go w ciemności, ażeby powrócić dopiero
następnego dnia.

Widok tego wszystkiego wstrząsał naj-
bardziej wytrwałych. Lecz młodzieniec rzekł
zimno:

— Zapominasz, że nikt prócz ciebie, nie
powiniem mnie słyszeć.

Drzwi zamknęły się.

— Tajemnica twoja?.. przemówił surowo
Tere-Tang.

— Moja tajemnica, tyranie... Wszak śmierć moja dziś wieczorem jeszcze pociągnęłaby za sobą i twoją,— rzekł Tse-I-La. Oczy jego płonęły: śmierć moja?... lecz tylko na nią, jakżesz ty tego nie rozumiesz... tylko na nią liczą ci tam na górze — ci, którzy w drzeniu oczekują na twój powrót... Wszak on mówiłby, że obietnice moje próżnemi były.. Jakaż by to było radością dla nich śmiać się po cichu, w swych sercach nad twojem oszukanem zaufaniem? Czyżby to nie mogło służyć za sygnał do twojej zguby? Pewni bezkarności, oszaleli przeżyta męką, czyż będą oni teraz hamować swą nienawiść ku tobie, który oszukałeś ich nadzieje i uległeś słabości?... Cóż, wzywaj swych katów. Mnie pomszczą. Lecz widzę: ty sam już rozumiesz wyraźnie, że jeśli zgubisz mnie, życie twoje stanie się kwestją jakich bądź godzin, i że, według zwyczaju, w ślad za tobą zaduszone zostaną i dzieci twoje, a Li-Tien-Se, córka twoja, kwiat rozkoszy, stanie się zdobyczą zabójców twoich.

i
— Ach, jeżelibym ja był prawdziwym księciem. Wyobraź sobie, że powracasz zaraz do sali tronowej, z twarzą rozjaśnioną przepowiedzianą przezemnie tajemniczą siłą, otoczony strażą, z ręką wspartą na mojem ramieniu. Tam sam przybierasz mnie w suknie książąt, wzywasz łagodną Li-Tien-Se, córkę twoją i duszę moją; zaślubiwszy nas, rozkazujesz skarbnikom swoim odliczyć mi pięćdziesiąt tysięcy złotych liangów. Przysię-

gam, widząc to, wszyscy z twoich dworzan, którzy ukradkiem już wyjmują kindżały z pochew, wznosząc je nad tobą, — wszyscy padają na twarze, obezwładnieni, wyczerpani, i w przyszłości już ani jeden nie odważy się dopuścić do duszy swej myśl, wroga tobie. Pomyślżeż. Wiedzą, żeś ty rozsądny i posiadasz zimną krew, że oczy twe bystro widzą w sprawach państwa. Któż będzie uważać za możebne, ażeby pusty wymysł w kilka chwil przemienił podejrzliwy wyraz twej twarzy w wyraz świętego osłupienia, zwycięskiego i spokojnego... Wszyscy wiedzą, żeś okrótny i pozostawiłeś mi życie. Wiedzą, żeś podstępny, i tyś darował mi życie... Wiedzą, żeś chciwy, i ty dajesz mi tyle złota... Wiedzą, żeś pyszny w swej miłości rodzicielskiej, i oddajesz mi swą córkę, mnie, przechodniowi, nieznanemu... Jakaż wątpliwość oparłaby się temu wszystkiemu?... W czymżeż jeszcze zawierać się może siła tajemnicza, wyjawiona przez starożytne genjusze naszego nieba, jak nie w ogólnem przekonaniu, że ty tą tajemnicę posiadasz? Tylko takie przekonanie trzeba było wytworzyć. Jam to i zrobił. Wszystko pozostałe zależy od ciebie. Dotrzymałem swego słowa. Zrozum, określiłem ilość złotych liangów i poprosiłem o godność, którą pogardzam, tylko dlatego, ażeby z hojności nagrody, wyrwanej przezemnie twej osławionej chytrności, sądzili o groźnem znaczeniu mej mniemanej tajemnicy.

— Królu Tere-Tang! Ja, Tse-I-La, przywiązany na twój rozkaz do tego słupa i wznoszący w obliczu strasznej śmierci pełne zachwyty pochwały potężnemu Li-Tan-Pe, mistrzowi memu z promienistemi myślami, — mówię ci to co nakazuje mądrość. Powróćmy tam z wysoko podniesionemi głowami, z śmiejącemi się obliczami. Oznajm groźnie, że w przyszłości nie będziesz znać litości. Rozkaz urządzić wspaniałe igrzyska dla radości ludów na cześć Fo, który natchnął mnie myślą o tym boskim podstępie. A ja jutro oddalę się z wybranką mej miłości, do jakiej-bądź oddalonej, szczęśliwej prowincji, korzystając ze złotych liangów. Djamentowy guzik mandaryna, który ofiaruje mi hojność twoja, i ja niby będę z niego dumny, myślę, że nigdy nie będę nosić. Inne mam dążenia: pociągają mnie tylko pełne harmonji i głębokie myśli, które przeżywają królów i królestwa. Król jest w nieśmiertelnem państwie, — nie dążę by zostać księciem w waszych królestwach. Tyś widział, że bóg mi dał hart ducha i rozumu, w których nie ustępuję i twoim blizkim. I mogę lepiej, niż ktobądź z wielkich mężów twoich, napełnić radością oczy młodej kobiety. Spytaj Li-Tien-Se, marzenie moje. Pewien jestem, że zobaczywszy oczy moje, powie ci to samo.... A ty, — ty będziesz panować pod tarczą przesądu, i jeżeli otworzysz swe myśli dla sprawiedliwości, to zamienisz lęk na miłość do twego umocnionego tronu. Na tym polega tajemnica

królów godnych życia. Innych nie mam tajemnic, którebym mógł ci ujawnić. Zważ to, zrób wybór i wydaj wyrok. Powiedziałem wszystko. Tse-I-La umilkł.

Tere-Tang stał nieruchomo i jakby rozmyślał. Olbrzymi cień jego wyciągał się na drzwiach żelaznych. Potem podszedł do młodzieńca i, położywszy rękę na ramieniu jego, uważnie popatrzył w samą głąb oczu jego, jakby ogarnięty mnóstwem nieokreślonych uczuć.

Nareszcie, obnażył szablę i rozciął sznur, przytrzymujące Tse-I-La. Pótem włożył mu na szyję swój łańcuch królewski.

— Chodźmy, — rzekł.

Wszedł na stopnie podziemia i położył rękę na drzwiach światła i wolności.

Tse-I-La, lekko oślepiiony miłością i nieoczekiwanem szczęściem, przyglądał się nowemu darowi króla.

— Jakto, jeszcze i te klejnoty, — szepnął. Dlaczegoż tak oczerniali cię? To — więcej, niż obiecane bogactwa. Za co chce król zapłacić tym naszymi?

— Za twoje krzywdy, — pogardliwie odrzekł Tere-Tang, otwierając drzwi ku światłu słonecznemu . . .

KOZYTELNIĄ ZJEDNOCZONĄ
SPÓŁKĄ z ogr. odp.
Warszawa, Marszałkowska 95
TELEFÓN 263-80.

Dom szczęścia.

Dwie piękne istoty ludzkie spotkały się o tej porze życia, która poprzedza wspaniałe zapadanie jesieni; w tej porze, kiedy — niby gwiazda wieczorna nad rozległym bosem, po przejściu nawałnicy — ukazuje się Melancholia, promieniejąca tysiącem barw magicznych nad wszelką duszą, dobrze urodzoną.

Ongi, — o, przypomnienia już odległe! — te dwie dusze, wraz z pierwszą zorzą zjawiły się, z przyrodzenia białe i obdarzone, w stanie nostalgii jakowąś tęskną namiętnością ku prawom tylko niebiańskim. Niby wieczyste dzieci, przeznaczone, by umarły tak, jak odlatują ptacy, zostawiając na swych czystych mogiłach jedyny stosowny dla nich kwiat, lilie poranku. Lecz przeznaczone im było żyć — i przyszła Ludzkość ze swą walką i bolesnem osłupieniem.

I ona i on, oddzieleni jedno od drugiego przypadkiem innych miast, innych krain, wzrosli w środowiskach równoległych, nie spotkawszy się nigdy.

W ciągu życia tedy, pod każdym niebem musieli znosić obcowanie z grzecznymi przechodniami, o oczach uśmiechniętych, o minach sprytnych, o sądach zapożyczonych, o zajęciach próżniaków, o odmierzonych nicościach dusz, o sercach wyłącznie lubieżnych, o sposobie postępowania wyrachowaniem, o chwalcie, kryjącej oszczerstwo — których wysoce dystygowana obecność wydaje z siebie woń zbutwiałego drzewa.

Ach! bo i oni oboje, jak my wszyscy, ujrzeli światło dnia na smutnem łonie tych narodów zachodnich, które pod sztandarem wprowadzenia na ziemi nareszcie panowania „prawidłowej” Sprawiedliwości, idą naprzód, ogalając się bez troski z tych instynktów Górnych — które jedyne stanowią rzeczywistego Człowieka — i przekładają zapuszczając się nadal swobodnie za wolą zrozpaczonego Rozumu w knieje trafów i fenomenów, płacąc za każde „odkrycie” coraz tępszem znieczuleniem serca.

Na widok dokołny tego nowożytnego wysiłku, czyż nie najmądrzej i najbardziej po ludzku byłoby — przynajmniej w oczach ludzi „wyższych sfer” — dać się unosić fali życia, w roli nienatarczywie ciekawego widza, przyjmując od życia wyłącznie wrażenia intelektualne lub fizyczne, bez innych namiętności, krom żądy najwygodniejszego elektyzmu?

Tymczasem, Paula de Luçanges, zarówno jak księżę Valleran de la Villethéars od lat młodzieńczych poczęli odczuwać wielkie zdumienie, iż należą do gatunku, w którym zanik wszelkiej wiary, wszelkiego bezinteresownego

entuzjazmu, wszelkiej szlachetnej lub wzniosłej miłości groził zagnieżdżeniem się endemicznem.

Żadne zabijanie czasu nie pozwalało im zapomnieć o upokarzającej świadomości tego zła, którą mieli. będąc jeszcze dziećmi prawie, nie dając wszakże poznać tego po sobie, dzięki pewnego rodzaju tkliwej wyrozumiałości, przenikającej ich istoty. Paula, wysmukła w swej piękności Hypaty chrześcijańskiej, była z rasy tych kobiet światowych o sercu westalki, które zabezpieczone lepiej, niż Sand'y, Safo'ny, nawet Sevigné'e lub Staël'e od próżności pisania, zachowują w całej czystości dziewicze błyski swego natchnienia dla jednego jedyne go wybrańca. On napozór nie wyróżniał się wśród ogółu ludzi dobrego towarzystwa, za ledwie — czasami — pewnym spojrzeniem, krótkim, bardzo przenikliwym, trochę zimnym, którego nieokreślne wrażenie rozpraszało lub niepokoiło dokoła niego najbanalniejszą czczość.

Tak więc oboje ukrywali pod maską nieskazitelnych pozorów, jaką konwenans nakłada na ludzi dobrze wychowanych, genialne zdolności do rozmyślenia, któremi Stwórca wyposażył ich skłonne do samotności umysły, I z dnia na dzień ta szczególna para — o ile im mogły na to pozwolić despotyczne obowiązki sfery, do której mieli zaszczyt należeć — odpalała się od tych tysiącznych rozrywek, tak drogich zazwyczaj eleganckiej młodzieży.

Czy nie tracili złotych chwil swej wiosny na zbyt marzycielskie i zapewne jałowe refleksje, dotyczące... naprzykład, tych okrytych mgłą zagadnień, mających reputację coś błahego,

nudnego i nierozwiązalnego — a którymi tymczasem interesować się musieli, ulegając dziwacznej właściwości swych dusz ?

— Być może.

— Lecz jednocześnie było dla nich jasne gdy rozglądali się dokoła, że Duch naszych czasów przy pracy — który usiłuje zrodzić dla chwały czarodziejskiej Przyszłości bezgłowego potwora chimerycznej Ludzkości bez Boga — wzywa ich również, w dziedzinie tego, co w ich istotach jest ludzkie, do wyboru w najgłębszej tajni myśli między przekazanymi im dziedzicznie aspiracyami... a Nim. Ów najświeższy ideał — (ten postępowy Dobrobyt, zawsze proporcjonalny do potrzeb danego kraju i danego wieku, a którego każdy dalszy stopień, wzniecając nowe pragnienia, daje świadectwo nieograniczoności Iluzji, a więc fatalnemu szaleństwu zamykania w niej naszego ostatecznego Celu...) — ów ideał nie zdołał wzbudzić w ich umysłach nic, krom obojętności doprawdy absolutnej. Pełne pychy skazanie siebie na taki koniec nie mogło istotnie ani oczarować, ani wzruszyć, bodaj na chwilę, tych dwóch świadomości, które, dążąc w pokornym zachwycie do Światłości, przypominały sobie wciąż o swem pochodzeniu. I ta rzeczywistość kupy drzazg na fali, w co obracają się pospolicie fascynujące mirażę, jakimi stare opium Nauki wysusza oczy współczesnych — te „zdobycze Człowieka nowoczesnego“ wydawały im się w rezultacie nieskończenie mniej pożyteczne, niż niepokojące, śmiertelnie — zważywszy zwłaszcza tę quasi-

małpią atrofię Zmysłu Nadzmysłowości, jaką kosztują... i ów rodzaj skostnienia duszy, jakie za sobą pociągają. Przesiakiłi atawizmem, biorącym w rzeczywistości początek od Boga, odmówiliby (o, nawet nie mając co jeść!) przez instynkt, niezawodnie! ustąpienia mimo tylu przykładów, świętych praw swego uświadomionego pierworodztwa duchowego za wszystkie pasztety z trującej soczewicy, jakimi znikomy Aktualizm próbowałby kusić ich zwątlone siły. Co do owej Przyszłości, której wiecznotrwały i wzniosły blask prorokował kościół zacietrzewionych reporterów, tych dwoje młodych wahało się nabijać nią sobie głowę aż dotyla, by zapomnieć zbyt łatwo o tem, że koniec końców (— choćby krzyżącem świadectwem tych dwudziestu sześciu widocznych przemian, któremi nie przestaje ogłuszać nas pod nogami pełna gróźb geologia — i nawet, jeśli pokryjemy milczeniem srodze niepokojące rewelacje nowoczesnej astronomji, —) wszechświat dowiódł tylokrotnie a znieńacka, że jest komnatą zbyt mało pewną, by naieżało jedną chwilę pieścić myśl o możliwości zainstalowania się kiedykolwiek w niej ostatecznie. Tak, iż cały szych intelektualnej Nauki, wszystkie pudełka od zabawek, na które sobie pozwala dojrzały wiek Ludzkości, wszystkie desperackie skoki nieprzekonywujących pomysłów metafizycznych, cały hipnotyzm Postępu — tak wspaniale naturalnego, gdy mu przyświeca opatrność objawionego Boga, a tak bez niego pełnego bolesnej próżności, — nie, to wszystko nie wydawało im się ani równie poważne, ani równie poży-

teczne, jak owo takie proste i przyrodzone wzniesienia przez Człowieka oczu ku Niebu.

Ze społecznego punktu widzenia było im wszelako trudno w samych sobie potępiać nierozważnie oczywistość tego powszechnego wysiłku ku wielkiej Sprawiedliwości, — ku wyższej bądź co bądź słuszności, niż ta, na którą skarży się Przeszłość. Lecz ściśle rezultaty, otrzymane z zastosowania tych teorii humanitarnych, — zapożyczonych zresztą u odwiecznego Chrystyanizmu, — wydawały się dotychczas, — trzeba było otwarcie przyznać się do tego, — szczególnie niezgodne z zachwycającymi intencjami ich zwolenników. Jakże w samej rzeczy zapoznać fakt, iż najwolniejsze, najdumniejsze i najbardziej zazdrosne o Wolność ludy są właśnie te same, które z okrwawionym batem w garści katują najbardziej swych niewolników, potrafią najboleśniej upokarzać swych biernych i wśród przestępstw, jakich zamierzają się dopuścić, wybierają zawsze najnikczemniejsze? Jakże uniknąć w jakimkolwiek kraju widoku tych tryumfujących luperkaliów, na których większości — o patriotyzmie tak lukratywnym, o krasomówstwie jarmarcznych hecarzy zwyciężają hucznie i całkiem serjo i których niezmaczonej pogody serwilizm, — kręcący się wyłącznie dokoła podmuchów tych zdrad, odpychających dla mędrca, a leżących poniżej wszelkiego kodeksu karnego, jak i poniżej wszelkiej wzdardy — stwierdza aż nazbyt dobitnie, w jaką nicłość padają plackiem rewolucje? I, wyciągając z tego wnioski, jakże tu nie zrozumieć, bez wysiłku, iż wobec prawa niesłychanej dyspro-

porcji umysłów, w ich różnorodnej pojemności, rzekome panowanie czysto ludzkiej Sprawiedliwości nie będzie mogło być nigdy niczem innym, jak tylko tyranją Przeciętności, opierającej wesółkowato swą powagę na czym? na liczbiel by pognać tych, których geniusz, stanowiący właśnie i jedynie najistotniejszą treść Umysłu Ludzkiego, ma sam tylko prawo boskie, ma dane do określania i kierowania jego słusznymi dążeniami.

— Lecz, nie racząc wydawać sądu o współczesnej modzie na idee północne, szlachetny marhyciel i piękna marzycielka, odwracając wedle możliwości oczy od zagadkowego widowiska ziemskiego, dochodzili w swych rozmyślaniach zawsze do takiego zespołu myśli:

— Co może obchodzić rzeczywistą Wiare skandal czczej egzystencji tej garści cieniów, co jutro zginą, by zrobić miejsce nowym, tyleż wartym marom?

Cóż z tego, że wychowują one przy sobie materjalną powłokę Władzy, której istota jest im niedostępna? Nikt nie może posiadać z żadnej rzeczy więcej ponad to, co w niej odczuwa. Jeśli ta rzecz jest piękna, szlachetna — jednym słowem boska z pochodzenia, a on będzie niski w swej treści, — to znaczy posiadać będzie przezorność instyktów nieuchronnie poniżającą, — piękność, szlachetność, boskość tej rzeczy znikną natychmiast przy pierwszym dotknięciu gwałciciela, i on posiędzie w niej jedynie swą intencyjną profanację, — krótko mówiąc, odnajdzie w niej, jak i w każdej innej rzeczy, tylko własną nikczemność, tylko wstręt-

ną, wydobytą na światło, bestjałską przeciętność swej istoty: nic więcej. Więc też niewarto się tem irytować.

Tak oto, smucąc się może trochę tą fatalnością swej epoki, — lecz nie zapominając, że były gorsze czasy, — i znajdując ukojenie codzienne w tych wizytach, jakie najwznioslejsza Sztuka potrafi ofiarowywać sercom czystym i samotnym, tych dwoje narzeczonych Nadziei, urągając czasowi, czekało na siebie.

Tego rozbratu, między ich naturą a wielkości godnych śmiertelników naszych regionów nie skonstatowali w zaraniu życia. Nie. Te istoty z tamtej strony długi czas nie chciały się poddać — nawet wobec najokropniejszych oczywistości, lub też, uważając je za przejściowe, wybaczały je z pobłażliwością niestrudzoną. Oczyma, olśnionemi jeszcze refleksami, wczesniejszymi od ich oczu cielesnych, jakże się mieli połapać odrazu, na jakim gruntownem piekle zbudowana jest banalność towarzyska. Dlatego też ich łatwowierna wrażliwość, cała nasiąknięta anielskimi łzami, wpadała wtedy wciąż z jednej niespodzianki w drugą i dzieliła tysiące kłamliwych — lub tak umiarkowanych „cierpień“, że były one niegodne takiego imienia. Długi czas dość było, gdy ktoś obok nich udawał strapienie, by te serca bez przerwy płonące stały się pokrzepieniem, rozrzutne! z pociechą spieszące!... Ach! poświęcać się, zapominać o sobie! jakaż radość dla aniołów, pochylonych nad opuszczonymi! Cóż z tego, że najczęściej owi pocieszeni nie raczą wspominać

„aniołów“ inaczej, jak krytykując, zawsze trochę późno, ich upokarzająca nierzeczywistość!

Tak oto promieniowało ich miłosierdzie, to boskie spędzanie czasu sprawiedliwych, — nawet na tych, łaknących wciąż rozrywek, których właściwością jest ujawniać rodzaj wścieklej odrazy na samo bodaj niewyraźne odczucie wszelkiego zbliżania się dusz dostojnych, do tego stopnia sama myśl, że takie dusze mogą jeszcze istnieć, jest dla nich nieznośna, męcząca i oburzająca. Więc też tych dwoje było na tyle łaskawych, że trzymali się zdala od tego rodzaju osób, by im oszczędzić przykrości tego zwykłego w takich razach wrażenia. Panna de Luçanges i książę de la Villethéars znosili tedy każdy ze swej strony, tę egzystencję aż do fatalnego dnia, gdy oboje jednocześnie spostrzegil się, iż duszące wyziewy — płynące z ordynarnej swawoli baraszkującej powszechnej Przejętności — rozniosły zarazę i na ich blizkich, na ich braci, na im „równych“, — na większość dostojników i kapłanów ich sfery...

Wtedy, urażeni strasznie, poczuli, jak mróz ścina im dusze, wywołując ten rodzaj surowego zniechęcenia, które jedynie Bóg - męczennik przemódz może wobec swego ucznia zaprznać. Poniżeni świadomością solidarności bądź co bądź z tą nawałą, co wtargnęła w takie ich *poblize, uczeni kuszenie beznadziei, macące ich nietykalne dotąd serca — i niewiele brakowało, by rozpacz zaćmiła w tajnych głębiach ich wierzeń nawet samo poczucie Boga.

Ani ona, ani on nie byli w istocie z liczby tych duchów twórczych, zahartowanych tak, iż

CZYTELNIA ZJEDNOCZONA

SPÓŁKA Z OGR. ODP.

Warszawa, Marszałkowska 95

1984-85

mogą stawić czoło bodaj zgorszeniu całej Ludzkości i których piorunowe tchnienie nieskończoności potrafi zwalić sobie do nóg ryczące dziko nawałnice: to były jeno dwa wybrane umysły, cudownie od natury uposażone, — które tego rodzaju próba ugięła, niby dwa kwiaty ulewa.

Nie skarżyli się. A tylko stali się niebawem dwójgiem dusz w żałobie, rozczarowanych nawet do poświęcenia i których królewskiej gorzkiej apatji żadna zabawa nie mogła już ani zwiększyć ani zmniejszyć.

Teraz łakną tylko jednego — wygnania. „Wytaczać skargę? Jaki wydać sąd? Na co się to zdało zresztą? Stracone chwile“.

Dusi ich potrzeba pożegnania, oto wszystko. Sądzą, iż zdobyli prawo zapomnienia. Za ledwie raczą czasami osłonić bladym uśmiechem swą cierpką obojętność. Stali się niepokiesznymi jasnowidzami i w sobie noszą swą samotność. Już teraz nie mogą się dawać zwozdzić — więc nędzna komedja między nimi a tłumem towarzyskim skończyła się.

To też w momencie ślubnym, kiedy Przeznaczenie postawiło ich przed sobą, rozpoznali się jednym spojrzeniem i pokochali się bez słów, tą nieodpartą miłością, co stanowi skarb życia. Och! usunąć się do jakiejś weselnej siedziby, by ocalić od klęski swych dni przynajmniej jesień, znaleźć urocze wolne miejsce na szczęście o barwach czarodziejsko zblakłych, melancholijną ciszę na morzu! Zazdrośnie strzegąc swej tajemnicy, pewni swych myśli, napijali do siebie.

Poczyniwszy przygotowania, odjeżdżają, znikają — mając się odnaleźć, nie w jednym z ich ciężkich zamków, gdzie odwiedzający, znowu... — lecz w tem ustroniu, nikomu nieznanem, które wybrali i szlachetnie ozdobili w stylu swych dusz, by w niem ukryć swój edeński okres życia.

Dom Szczęścia panuje nad urwiskiem, tam na północy Francji, boć to bądź co bądź ojczyzna! Otaczają go osnute zielenią mury dużego ogrodu, utworzonego z wielkiego trawnika, całego w kwiatach, pośrodku którego, między wierzbami i szaremi posągami spada do marmurowego basenu śmigła rakietą wodotrysku.

Duże boczne aleje z bardzo wysokich ciemnych drzew ciągnęły się solidarnie wzdłuż murów. Uroczysty nastrój i cisza tej siedziby są łagodnie niepokojące, jak zmierzch. Tutaj każda rzecz tak się odosabnia! — Promień Zachodu na poczerwieniałych nagle oknach białej fasady, — liść, padający ze sklepienia alei wirowym ruchem na piasek — lub jakiś przyśpiew rybaka w oddali, — szybsze znikanie mgły nadmorskiej, — lub zapach, z nagłą subtelniejszy pęku wilgotnych róż, muśniętych lotem pierzchającego ptaka, — tysiące innych zdarzeń, nieuchwytnych zresztą, wydają się tutaj jakby zgola obcymi ostrzegawczymi znakami krótkotrwałości życia.

I gdy są świadkami tych znaków w czasie swych przechadzek, tych dwoje wygnańców! kiedy szczęsna rozmowa wiąże ich umysły czarem wzajemnego oddawania się, naraz dreszcz

niemi wstrząsa, nie wiedzą, czemu! Zatrzymują się w zamyśleniu: radosny ton ich słów pierzchnął... Coś usłyszeli. Co takiego? Oni jedni to wiedzą. Ściskają sobie wzajem ręce, jakgdyby wstrząśnięci jakimś okropnym wrażeniem! I twarz ukochanej ślania się omdlewająco na ramię kochanka! Dwie łzy drżą między jej rzęsami i toczą się po blednących policzkach.

A kiedy wieczór modrzy niebios, milczący stary sługa jednego z ich domów przychodzi zapalić lampy w pokojach.

— Lecz ukochana, — kobiety już są takie — lubi zwlekać z powrotem do domu dla kwiatów na trawniku, dla pocałowania jakiegoś kielicha, już prawie uspionego. Poczem powracają razem.

— Och! te lekkie wonie hebanu, zwiędłych kwiatów i ambry, jakie wydziela, już z przedsionka cicha siedziba. Upodobali sobie w upiększeniu jej tak, iż stała się prawdziwym odbiciem ich marzeń.

Obok portjer, dzielących pokoje, marmury o czystych białych liniach, malowidła, przedstawiające lasy i zawieszane na starożytnych matakach ściennych pastele o twarzach, jakgdyby przyjaciół zgasłych i nieznanym. Na konsolach kryształ o tonach drogich kamieni i szkła weneckie o przygasłych barwach. Tu i owdzie, przygwożdżone do materji wschodnich, połyskują sinemi błyskawicami inkrustowane bardzo starem złotem trofea starodawnej broni. — W kątach duże krzewy podzwrotnikowe. Tam oto hebanowy fortepian, którego struny, jak myśli, odzywają się jedynie piękną, boską harmonią;

dalej, na etażerkach lub porzucone otwarte na lila jedwabiu poduszek, książki o kartach mądrych i kojących, które odczytują wspólnie, dając się unosić na ich skrzydłach w inne światy.

A że nikt zaprawdę nie posiada więcej ponad to, co odczuwa i że oni o tem wiedzą, — i że to jest dwoje poszukiwaczy wrażeń niezapomnianych, przeżywają tam wieczory, których czar przygniata im dusze mocnem, nawskroś przenikającym wrazeniem ich własnej wieczności. Nierzadko, patrząc na cień przedmiotów na prastarych obiciach, odwracają oczy bez wyraźnej przyczyny. I ciemne rzeźby ram jakiego wielkiego zwierciadła, — w którego niebieskawej toni odbije się naraz migotanie gwiazdy poprzez szybę okna, — i niepokój wiatru, szumocącego na dworze, w mroku liśćmi drzew ogrodowych, — i zbożna nieokreślona twoga, jaką budzi w nich, kiedy zegar bije wyraźnie i donośnie, tajemnica nocy. — wszystko mówi do nich dokoła tym językiem odwiecznym starej baśni o życiu, który rozumieją bez trudu, dzięki swemu doskonałemu skupieniu. Tak więc, nie pozwalając bynajmniej godności swych istot bawić się myślą, iż zamieszkuje to, co nie ma ani początku, ani końca, umieją potęgować całym pięknem Tajemnego i Nadzmysłowego, — którego poczucie przyznają w sobie, — natężenie swej miłości.

W ten sposób, przedłużając bez rachuby godziny, rozkosznie, w rozmowach wyszukanych a głębokich, w uściskach takich, że ich ciała będą już tylko ciałem Anioła, w czytaniu płodów natchnienia, w pełnych tajemniczego uroku

śpiewach, w przedziwnych radościach czerpać będą wrażenia coraz to nowe i coraz bardziej żywotne, najwyższe z dostępnych śmiertelnym! w tej samotności, — wrażenia, których tak mała liczba ich „bliźnich“ troszczyłaby się im za zdrościć. Przez realizowanie wreszcie całej poezji ich inteligencji w jej najwyższym wcieleniu osiągną to, że ich wschody słońca i dnie — wieczory i noce staną się ewokacjami cudów. Ich serca, namiętnie rozkochane zarówno w ideale, jak i w szalonych żądach, rozkwitną niby dwie mistyczne róże ldumei, szczęśliwe iż napełniają wonią rodzinne szczyty, chociaż w pewnej odległości, niestety, od Jeruzalem, — w Ziemi Świętej wszelako.

Podobnie jak, mogąc rozporządzać według woli, rozdali poprostu i w sposób najdyskretniejszy, prawie całe swe wielkie fortuny pomiędzy tych wydziedziczonych — których, jak przystało na prawdziwych oryginałów, zadali sobie trud wyszukać, czyniąc wybór cierpliwie, — w ten sam sposób, nienawidząc wszelkiej emfazy, nie uczuli bynajmniej potrzeby „przysięgania sobie”, że jedno nie przeżyje drugiego. Nic podobnego. — A tylko oboje doskonale wiedzą, czego się trzymać w tej mierze.

Gardząc doskonale tem wszystkim, co ich zawiodło, dalecy od świecącego na zewnątrz rozczarowania ich dawnego świata, rzucili jednym spojrzeniem swemu, już zapomnianemu otoczeniu zimne, ostatnie, klasztorne pożegnanie, którego melancholia ich poważnej radości żałować nigdy nie będzie. Oni są ci kłórzy już się nie interesują. Zrozumiawszy, raz na zawsze,

z jakiego okrutnego smutku zrobiony jest śmiech nowoczesny, jakimi kruchemi fikcjami pasie się mądrość czysto przyjemna, od hałasów jakich bawidełek dziecinnieją uszy trywialnych mas, jaka rozpaczliwa nuda jest treścią swawolnej próżności światowego kłamstwa, ślubowali sobie, że tak powiem, zadawalniać się swem szczęściem w samotności.

Tak, te dostojne istoty (wyjątkowe!), uważając się za tych, co zdobyli pokój, potrafią zachować magię swego odosobnienia nietykalną. Przekonani, nie bez niewzruszonych motywów, że dla tych, co, blakając się z zimnem sercem, nie mogą być szczęśliwi, jedyną rację istnienia (przemóżne dążenie do upodobnienia innych sobie) stanowi zmaczenie instynktowe, o ile im się to uda, szczęścia tych, co umieją być szczęśliwymi, ci nadludzy kochankowie, by zapewnić bezpieczeństwo prostocie swej jesiennej miłości, postanowili samolubnie próg swego przybytku uczynić niedostępnym i nikomu nieznanym. Niegościnni, tak, nie sprofanują nigdy wewnętrznego promieniowania swego domu, ani obecności w nim, — kto wie! — Duchów opiekuńczych, wywołanych wszechmocą ich miłości, przyjęciem „u siebie“, bodaj przez przypadek jakiego burzliwego wieczoru, pospolitego, a nawet znakomitego obcego człowieka. Pod żadnym pretekstem Woli Losu nie postawią na kartę pogody swego niewysłowionego, niedającego się przenigdy określić — i przeto niewzruszonego zachwycenia. Mędrsi od swych przodków w Raju, nie będą usiłowali nigdy wiedzieć, dlaczego są szczęśliwi, nie za-

pomniawszy, co kosztują tego rodzaju próby. Zresztą, pragną od bliźnich jedynie tej obojętności, której, spodziewają się, stali się godni, — co też nieświadome przyzwolenie świata chętnie im udziela. Słowem, pod swym wybranym dachem, zasłużywszy, zda się, w górze na ów coraz radszy przywilej możliwości odzyskania siebie wzajem mimo wszystko w Nieśmiertelności, tych dwoje wybrańców, — wspaniałych, mimo że trochę błędnych — potrafi bronić czujnie, — to znaczy ze znajomością rzeczy, — przeciw wszelkim zamachom „społecznym“ swej późnej szczęśliwości.

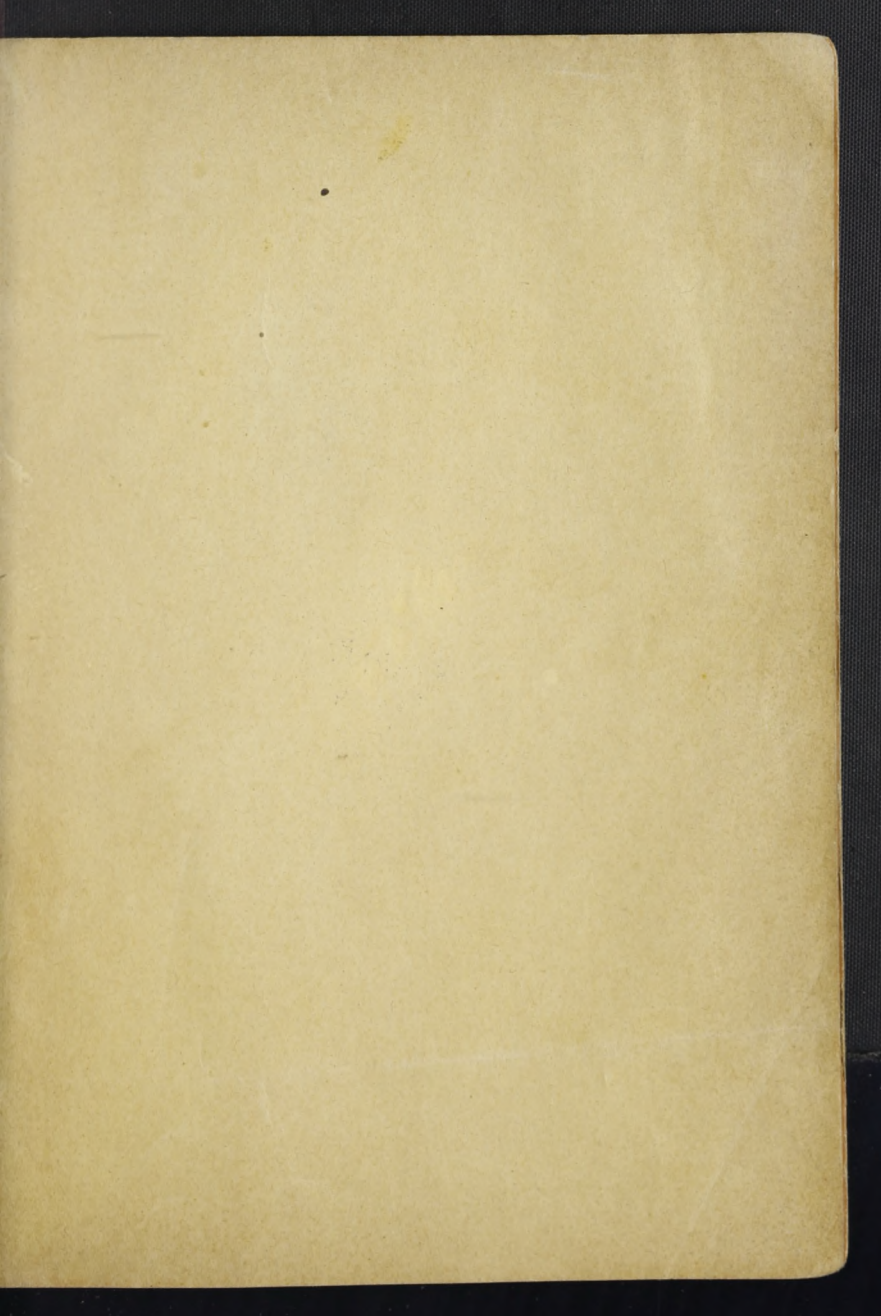


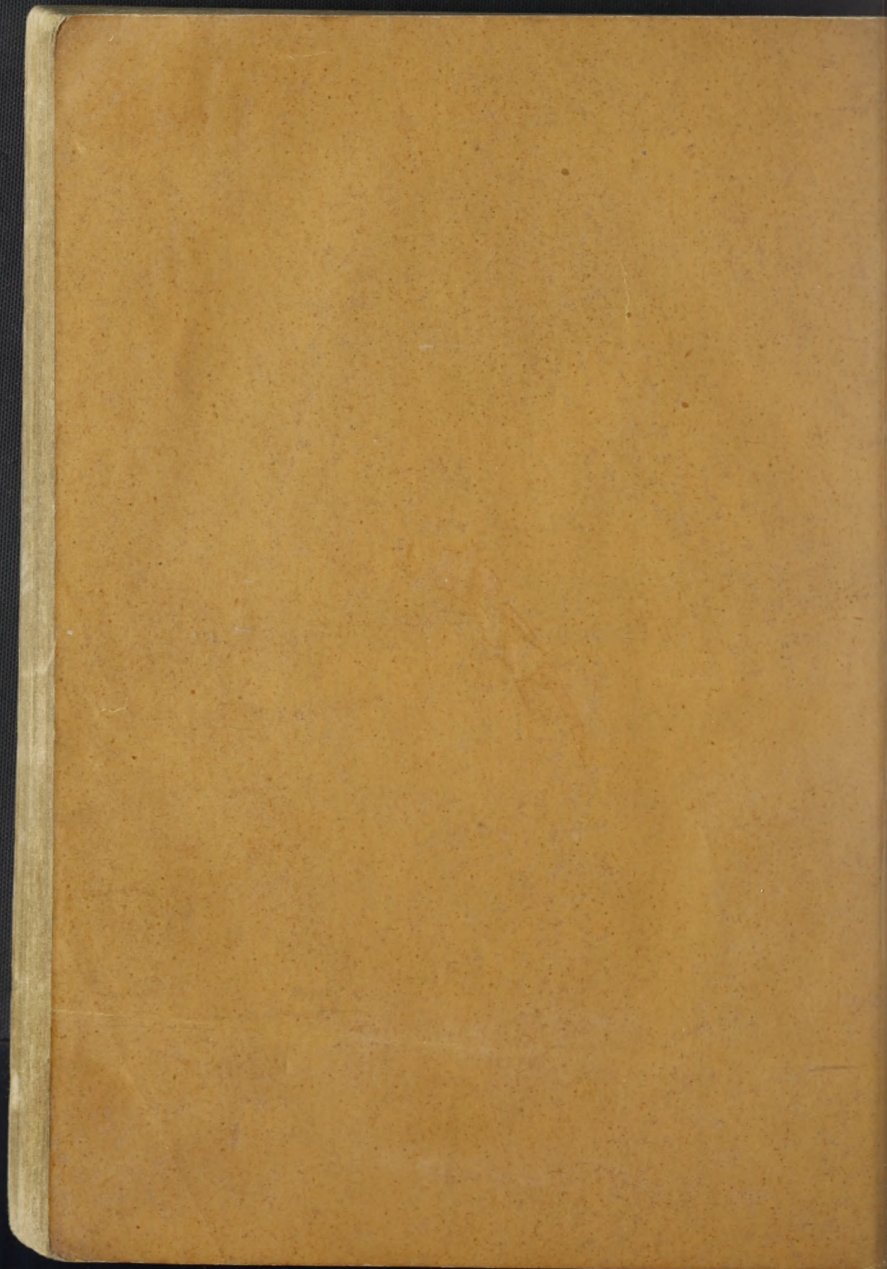
CZYTELNIA ZJEDNOCZONA

złota z osz. oty.

Warszawa, Marszałkowska 95

TELEFON 20-92





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020802101



BIBLIOTEKA
NARODOWA

1461297